№ 19. Warszawa, dnia 10 Maja (28 Kwietnia) 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. Chwila zwrotu. — Reakcya ekonomiczna w Austryi p. C. — Konwencyonalne kłamstwa II. — „Kołatał“—i nie „otworzono.“ — Z Galicyi p. Rewerę. — Z Czerwonej Rusi p. Myrona.—Wacław Szymanowski (jako poeta i dramaturg) II. p. J. Kotarbińskiego. — Jak przysporzyć ziemi i chleba p. A. Zakrzewskiego.—Historya szlachty polskiej p. H. B.—Liberum veto p. Posła Prawdy.—Na widnokręgu p. Nila.—Tydzień polityczny.—Wykłady publiczne: I. Kobieta w świetle poezyi rycerskiej (Edward Grabowski) p. P. Ch.; II. O pauperyzmie (P. Małkowski) p. J. K. P.; III. O wrażeniach zmysłowych (Dr. Nussbaum); IV. O powstawaniu elektryczności (Hołowiński) p. Wł. Gr. — O prawdę p. dra Ludwika Natansona. — Kronika bieżąca.—Odpowiedzi redakcyi.— Ofiary. — Ogłoszenia.

Chwila zwrotu.

W życiu księstwa Poznańskiego zbliża się chwila, która dla niego będzie zwrotną i która przesunie walec katarynki politycznej na nową — melodyę. Jak donoszą telegramy z Rzymu, kard. Ledóchowski zrzekł się arcybiskupstwa a na jego miejsce ma być zamianowany nowy pasterz — polak. Szan. męczennik „kulturkampfu“ nie był nigdy męczennikiem narodowym i w martyrologii patryotycznej nie posiada bohaterskiemi zasługami zapisanej karty. Dewizą jego, którą kiedyś bardzo wyraźnie rozprowadził w przemówieniu do deputacyi swych rodaków, był katolicyzm, a nie polskość. Dlatego żył w najprzyjaźniejszych stosunkach z rządem pruskim podczas najsroższych prześladowań politycznych i wypowiedział mu walkę dopiero od chwili rozpoczęcia prześladowań religijnych. *Persona gratissima*, klejnot czystego blasku w koronie Germanii, gasiciel patryotycznych zapałów, prusak zdecydowany, który o opozycyi nie myślał, znalazł się nagle w więzieniu i na wygnaniu za obronę praw Kościoła. Mimo to, skutkiem ścisłego połączenia katolicyzmu z polskością, Poznańskie posiadało w kard. Ledóchowskim silny punkt oporu dla walki, jak go posiadało w całym „kulturkampfie.“ Przyczepiało ono swoje interesy do partyi (centrum), której siła zapewniała mu udział maleńki w jej zwycięstwach. Teraz pomału owa podwalina się usuwa. Bo jeżeli kard. Ledóchowski ustąpi z arcybiskupstwa, ustąpi hetman ze swym „nieprzejednanym“ sztandarem, a jego miejsce zajmie wódz z chorągwią zgody (innego rząd pruski nie przyjmie), który ani się nie roznamiętnił w boju, ani nie spalił za sobą okrętów. Można być pewnym, że ks. Bismark dopilnuje, ażeby na stolicy arcybiskupiej w Poznaniu usiadł gołąb z rószczką oliwną, a wtedy kto wie, czy dotychczasowe pole bitwy nie zamieni się na rozkoszny skwer, w którym ministrowie niemieccy będą sadzili drzewka wspólnie z biskupami katolickimi. Biada wtedy, biada zasiewom poznańskim.

Dawnem to jest nasze przekonanie, że główny sternik nawy państwowej Niemiec ominie skały stronnictwa ultramontańskiego i zajedzie do portu dla zawarcia ugody z papieżem, nie uszkodziwszy swego statku. Większe z tych skał, Windhorsty, Schorlemer-Alsty i wogóle przywódcy katolicyzmu niemieckiego pozostaną na miejscu i długo jeszcze grozić będą żegludze pruskiej; ale drobne, innego pochodzenia ich przystawki — katolików polskich fala zetrze, zmyje i rozproszy. Co czas pewien widzimy nowy tego dowód. Gdy niedawno wniesiono w sejmie pruskim projekt przedłużenia prawa przeciw socyalistom, centrum oparło się i tem samem zagroziło rządowi porażką. Ale gdy ks. Bismark zaszachował je z Rzymu, oświadczyło ono, że pierwszego głosowania nie uważa dla siebie za obowiązujące. Niechże papież zamianuje innego arcybiskupa poznańskiego, a rząd pruski otworzy powrót do kraju kolońskiemu i zrobi kilka ustępstw, nietylko ustawa przeciw socyalistom przejdzie, ale centrum zawiesi broń a Poznańskie swoją własną silnych ciosów zadawać nie może.

Słowem, jeżeli prawdą jest to powszechne przekonanie (którego my bez zastrzeżeń nigdy nie podpisywaliśmy), że głównej obrony przeciw zagładzie dostarcza poznańskiemu religia i jej naczelni piastunowie, to w usunięciu Ledóchowskiego traci ono wiele nadziei na najbliższą przyszłość. A nawet i z naszego stanowiska przyznajemy, że ów dostojnik przyczyniał się pośrednio do wzmacniania siły oporu narodowego i że przeniesiony ze stolicy arcybiskupiej na posadę referenta do rozpatrywania próśb i biskupa włoskiego, znaczną część swego wpływu w sprawach prusko-polskich straci. Najzupełniej też usprawiedliwioną wydaje nam się kwaśna mina klerykalnych pism polskich, z jaką one o tym fakcie donoszą, tem bardziej, że trudno im w „dobrowolnej ofierze“ kardynała Ledóchowskiego wydłubać zasługę narodową.

REAKCYA EKONOMICZNA W AUSTRYI.

Wiedeń, 29 kwietnia.

Żyjemy śród ogólnej reakcyi polityczno-ekonomicznej. Nie jest to frazes, ale fakt, stwierdzony przez liczne zjawiska na polu prawodawstwa i administracyi. Kto myślą się cofnie w tył o 36 lat i przypomni sobie, z jakim rozpędem rewolucyjnym uderzono wtedy na wszelkie „spuścizny średnich wieków,“ na wszelkie cechy i bractwa miejskie, na nieruchomość własności ziemskiej, na wszelkie ograniczanie swobody osobistej; kto sobie przypomni z jakim zapałem witano „zdobycze“ rewolucyi na polu gospodarstwa narodowego — temu trudno przychodzi wierzyć, że żyje w tym samym państwie i że go ledwie kilka dziesiątek lat od owej dzieli epoki.

Gdziekolwiek spojrzymy, owe świetne „zdobycze“ liberalizmu albo już upadły, albo ku upadkowi się mają. Jedenaście lat w Austryi domagano się wolności zarobkowania i zniesienia cechów (od r. 1848—1859) aż nareszcie absolutny rząd ówczesny uległ naciskowi opinii publicznej i wydał ustawę zarobkową z r. 1859, która usunęła cechy i wypowiedziała zasadę swobody zarobkowania. Dziś już pogrzebano ją i po całej Austryi na mocy nowej ustawy z ubiegłego roku tworzą pod nazwą stowarzyszeń (*Genossenschaften*) dawne cechy. Co najciekawsze, to że na katedrach austryackich profesorowie głoszą jeszcze zasady wolności ekonomicznej, podczas kiedy ustawodawstwo i administracya porzuciły już dawno ten sztandar.

Albo ileż hałasu narobiono przed 25 laty jeszcze o wolność parcelowania gruntów! Przedstawiano rzecz tę jako warunek pomyślności narodowej. Wskazywano na Francyę, gdzie rozdrobnienie ziemi miało być przyczyną dobrobytu ogólnego. Ograniczenia podziału gruntów chłopskich, utrudnienia parcelacyi posiadłości wielkich — uważano za przeszkodę rozwoju ekonomicznego.

Póty domagano się tej swobody — aż ją osiągnięto. Używano jej lat kilkanaście. Oczywiście nikt nie zbadał dokładnie skutków rzeczywistych tej zmiany, a narzekania na biedę były przed reformą i są dzisiaj również po owej reformie. A więc jak wtedy owe *ograniczenia* miały być przyczyną nędzy, tak dzisiaj nic innego tylko ta przeklęta *wolność* działów ziemskich i parcelowania jest podobno jedyną przyczyną „upadku dobrobytu". A więc po całej Austryi zwołano dziś „ankiety" i radzą nad zniesieniem wolności i „ratowaniem" ludu wiejskiego i obywatelstwa ziemskiego.

Z katedr uniwersyteckich brzmią jeszcze dawne teorye, podręczniki nauk politycznych wychwalają błogosławieństwo swobody w rozrządzaniu własnością ziemską, a rząd już przygotowuje projekty ustaw w celu ograniczenia tej wolności i przywrócenia dawnej nieruchomości gruntowej. Nie podlega kwestyi, że parlament ulegnie także naciskowi i zniesie istniejącą swobodę działów ziemskich.

Na tem nie dosyć! Z różnych prowincyj austryackich dają się słyszeć głosy, aby przywrócić dawne konsensy na śluby. Szczególnie Tyrol, Wyższa Austrya i Salzburg domagają się tego — ale podobno i w innych dzielnicach toczą się agitacye w tym celu. Wprawdzie statystyka dowodzi jasno, że gdzie niema wolności ślubów, tam liczba dzieci nieprawych znacznie wzrasta — to nic nie pomaga! Prąd reakcyjny unosi — „*wolność* wszystkiemu winna — czemuż nie zaradziła biedzie? Kiedy nie zaradziła—to nic nie warta! Spróbujemy więc znowu ograniczyć ją i ścieśnić." Co sądzić o tym biegu wstecznym?

Zdaje mi się, że mamy przed sobą objaw społeczny zupełnie normalny. Po silnym ruchu ku swobodzie nastąpiła konieczna reakcya w kierunku przeciwnym. Nigdy inaczej nie było i nie będzie. Ruch polityczny i ekonomiczny odbywa się niejako między zwrotnikami wolności indywidualnej i absolutyzmu państwa. Ile razy absolutyzm dochodzi do pewnego szczytu, ile razy przekracza pewne granice, podnosi się krzyk o „wolność jednostki;" a kiedy ludzie się przekonają, że „wolność jednostki" nie spełnia przesadnych nadziei i oczekiwań — to znów wołają o *pomoc państwa* i ofiarują wolność osobistą za kawałek chleba powszedniego. Ale na ten kawałek chleba zawsze równo będzie trzeba w pocie czoła pracować *jednym*, podczas kiedy *drudzy* bez pracy opływają w dostatki — tak było zawsze i będzie bez różnicy, czy żyjemy pod pod rządem absolutnym, czy konstytucyjnym i parlamentarnym; czy jest wolność ekonomiczna, czy niewola. Cała różnica leży w tem, że pod rządem ustaw liberalnych *wszyscy* mogą wstąpić w szranki i w ciężkiej walce dobijać się o ten kawałek chleba; pod rządem ustaw wstecznych mniejszość ma zapewnione sobie pewne przywileje a większości nawet nie wolno walczyć i dobijać się polepszenia losu.

Przy swobodzie zarobkowania majstrom źle się wiedzie — za to tu i owdzie jakiś talent wybije się na wierzch, choć bez paranteli i bez protekcyi majstrów; przy ograniczeniu zarobkowania majstrowie niektórzy dobrze stać będą, ale biada czeladnikom, nienależącym do ich rodzin! Talent im nie pomoże. Podobnie rzecz się ma z ludem wiejskim w stosunku do wolności lub nieruchomości gruntowej. Dziś, pracowitszy i oszczędniejszy może się utrzymać przy ojcowiźnie; gdy powrócą ograniczenia, niechaj się cieszą pierworodni — biada młodszej braci!

Ale wszystkie te i tym podobne argumenty, tysiąc razy już powtarzane, nic nie pomogą. Przebyliśmy peryod wolności a teraz dążymy w kierunku przeciwnym. Któż tu rozstrzyga? Nie jednostki, nie powagi, ani nauka, ani doświadczenie — jeno głuche jakieś prądy „opinii," miotane dzikiemi namiętnościami to w tą, to w tamtą stronę.

Dziś hasło wydane: „pod opiekuńcze skrzydła *państwa*" i masy domagają się tej „opieki" z takim samym impetem, z jakim w r. 1848 domagano się „wolności" i „wyzwolenia z pod opieki państwa."

Nic lepiej nie charakteryzuje tego prądu chwilowego, jak odbywające się tutaj od kilku tygodni zebrania w sprawie kolei północnej. Wiadomo, że swego czasu (w r. 1836) rząd wydał Rotschildowi i spółce przywilej na kolej tę, prowadzącą z Wiednia do Krakowa, na lat 50. Po upływie tego czasu zachował sobie prawo objęcia drogi na własność i odszkodowania spółki akcyonaryuszów. Za dwa lata kończy się 50-lecie.

Otóż masy ludu wiedeńskiego zbierają się na meetingach i żądają *objęcia kolei przez państwo*. Kto waży się mieć inne zdanie, ten oczywiście „przekupiony przez spółkę." W tej ostatniej opinii jest dużo słuszności. Dzienniki tutejsze bowiem przemawiają prawie wszystkie za odnowieniem układu ze spółką Rotschildowską — a trudno przypuścić, aby tylko z miłości prawdy i poszanowania prawa sprzeciwiały się *opinii ogółu*. A więc sprawa nie bardzo jasna.

Ale to tylko ciekawe, że dzisiaj *zebrania ludowe*, meetingi przedmiejskie, okazują tak wielkie zaufanie do rządu i państwa i domagają się odeń objęcia tak wielkiego przedsiębiorstwa a więc oświadczają się za tak znacznem powiększeniem *władzy* rządu i za oddaniem pod jego opiekę tak niezmiernie wielkiego zasobu środków materyalnych. Są to znaki czasu — płyniemy w kierunku reakcyi, pod banderą socyalizmu państwowego.

Dziś za przykładem Niemiec wołają o upaństwowienie kolei żelaznych; czy też za pół wieku znowu razem z domaganiem się wolności zarobkowania, uruchomienia gruntów i większej wolności osobistej nie będą żądali napowrót „uprywatyzowania" kolei żelaznych?

C.

KONWENCYONALNE KŁAMSTWA.

II.

Jest-że to obraz naszej tylko epoki? czy też zastosować się on daje do każdej? Pesymizm ma podstawę fizyologiczną, do samej istoty organizmu ludzkiego przywiązana jest pewna miara cierpienia. Po wszystkie wieki trapiło ludzkość bolesne przeciwieństwo pragnienia i posiadania, ideału i rzeczywistości. Nawet owa osławionej pamięci Roma, Roma, której przez tysiącolecie przyświecały wyssane z mamki-wilczycy trzy ideały: grabież, grabież i grabież — nawet ona miewała chwile protestu przeciw istniejącemu położeniu — miała Gracchów i Katylinę, miała Spartaka. Lecz ani Gracchowie, ani Katylina

---

[1])

„Kołatał" – i nie „otworzono."

Gwarno było w Drzemlinie. Choć to tylko futor, dokoła borem i zaroślami brzozowemi opasany, ale roiło się w nim i kipiało, jak nigdy dotąd. Co pień sosnowy, co kłoda żywicą ociekła, to przy nich dwóch lub trzech chłopów barczystych kopało rydlem. Jedni rąbali, towarzysząc odgłosowi topora stękaniem; drudzy łupali kłody na drobne szczapy, odurzające zapachem żywicznym. Wóz po wozie wjeżdżał na futor, a każdy pełen łuczywa.

Około jakiegoś budynku snuli się ludzie z drągami i powrozami. Niektórzy na rusztowaniu z wytężeniem linami grubemi wciągali jakąś potwornie dużą kadź. Stojący na dole barkami swemi pomagali im, zachęcając się wzajemnie: „Nu-że bracia, jeszcze raz!"

Dalej nieco, w kuźni i koło niej, hałas piekielny! Ucho, wypieszczone szmerem salonu i dźwiękami fortepianu, cofnij się stąd zawczasu! Opuchłobyś odrazu... Z kuźni wylatywał co chwila łoskot miarowego spadania dwóch młotów na kawałek żelaza, ziejącego iskrami. Wtórował mu nieustannie ponury huk ognia, rozdymanego miechem. Przed kuźnią kotlarze rozdzierali nielitościwie powietrze uderzaniem młotków swoich w jakieś rury miedziane, umieszczone na drągach metalicznych. Kilku kowali wykończało obręcze żelazne, przyczem ile razy który w nie stuknął, omało się nie rozpadły z żalu, żałośnie jęcząc. Inni już niemi kadzie poopasywali, pobijając młotkami.

Z tym zgiełkiem łączył się niby szelest, niby zgrzyt pił sunących raźno wskróś kłód, co spoczywały na kobylicach. Tracze poprzewiązywali sobie głowy szmatami białemi, żeby im trociny oczu nie zasypywały. Obok nich inni ludzie przewiercali kłody, które chrapały pod naciskiem wdzierających się w ich wnętrzności świdrów.

— Patrz... het tam... widzisz? Nasz pan jedzie — zauważył stary Nyczypor, co do pary z Wasylem tarł drzewo i stał u góry nad swym towarzyszem.

— Ehe... — odparł zmęczonym i powolnym głosem ten ostatni, dobywając lulki z za pasa. To dobrze, przynajmniej rachunek z nami zrobi...

— Choć raz będziemy mieli gotówkę — mruknął pierwszy, skrobiąc się w głowę, swędzącą mu od potu.

— Ehe... (a fajka — pyk, pyk) warto-by... (pyk, pyk), a to kwity i kwity ciągle...

Owym panem był elegancko ubrany młodzieniec. Wróciwszy niedawno ze stolicy, przyjechał tu z rządcą dóbr swoich w ładnej i zgrabnej karecie. Ciekawość go wzięła zajrzeć na futor, czy roboty w smolarni postępują. Godziłoż się to zrobić. Wziął od Dawida Tucznego z góry pieniądze za smołę...

Szczególny to człowiek ten pan właściciel! Zamieszkiwał siedzibę rodową, Ostrodrapy, leżące stąd o kilka mil, albo używał rozrywek w stolicy, a w Drzemlinie wrzało, kipiało od rąk najemnych. Przyjechał w ładnym powozie obejrzeć roboty i zdziwieniem czy zachwytem przejął tych, co ciszę leśną zakłócili... Umilkło wszystko.

Parobcy, co kadź wtaczali na rusztowanie, wciągnąwszy ją, zaczęli się zbliżać ku powozowi, połyskującemu lakierem i ozdobami różnemi. Przyszli, pokłonili się młodemu panu do pasa i, czapki pozdejmowawszy, stanęli w przyzwoitej odległości. Przysłuchiwali się rozmowie prowadzonej z dozorcą smolarni. Pan miał wyraz, z którego widać było, iż mu się wiele rzeczy nie podoba. Nie spodziewał się tyle a tyle na miedź, na żelazo, na rzemieślników wyda... Ganił niektóre pomysły w urządzeni... Uwagi te były robione niezbyt pewny...

i Spartak nie byli pesymistami radykalnymi. Gniew ich nie zwracał się przeciw porządkowi świata, lecz przeciw ich własnemu w nim położeniu. Ale czyliż przeczuwali, że nie da się pogodzić z rozumem, ażeby ludzi obdarzonych wolą i świadomością można traktować jak bydło i rzecz martwą? Nie — uznawali oni niewolnictwo, tylko że sami niechcieli być niewolnikami. Głębsze nieco znaczenie duchowe przedstawiają wielkie poruszenia wieków średnich. Obrazoburzstwo, wojny krzyżowe, fanatyzmy Albigensów i Waldensów, sprowadzone do ostatecznej, do fizyologicznej podstawy swojej, były wyrazem niezadowolenia z danej rzeczywistości. Ale od obalenia jej gwałtownego powstrzymała społeczeństwo wiara w przyszłe szczęście, wobec którego niczem się zdawały nędze ziemskie. Ale z czasem i ten czynnik zardzewiał. Wiara przestała być klapą bezpieczeństwa; i oto sceptycyzm i powszechne rozstrojenie ducha, cechujące nasz wiek, o mało że nie nastąpiło przed czterystu laty. Powstrzymała je Reformacya, ratująca szczątki ideału religijnego — chociaż i tu na widnokręgu nie brakło znaków złowieszczych: niemiecka wojna chłopska była czynem ludzi zrozpaczonych, którym raj nie wydawał się dostatecznem wynagrodzeniem za nędzę ziemską i którzy już na tym padole starali się pięścią zapewnić sobie zaliczkę na rachunek rozkoszy.

Obraz wielkiego, wszechludowego poruszenia po raz pierwszy w dziejach ludzkości przedstawia Rewolucya francuska — wybuch, który oddziałał nie tylko na oddzielne słabsze miejsca, lecz na całą powierzchnię, stawiającą mu opór, i rozsadził całą ramę cywilizacyjnych stosunków ludzkości. Ale, rzecz dziwna: jest tam pewien rys, niepozwalający stanu duszy, z którego ona wynikła, uważać za tak bolesny, jak obecny — tym rysem jest głęboki, niewyczerpany jej optymizm. Mężowie wielkiej Rewolucyi byli zupełnie wolni od choroby pesymizmu. Nadzieja i wiara w siebie napełniała, przepełniała nawet ich serca. Mieli przekonanie, że posiadają nieomylne środki do zapewnienia bezwzględnego szczęścia rodzajowi ludzkiemu. A dziś! zamiast melodyi Uhlanda: „Świat staje się codzień piękniejszym" — grzmi hymn na cześć Nirwany. Nic! nawet doba agonii klasycznego Rzymu traci tu cały efekt tragiczny. W Romie cezarowej rozpaczliwe zwątpienie dotykało małą garstkę wybranych, dostojników duchowych; dziś nastrój ten, nakształt ogólnego zmierzchu, ocieniającego całe półkule, rozciąga się nad olbrzymią większością wszystkich uczestników kultury. A kiedy niedawno świątobliwy Lamartine wyśpiewywał, że „świat nie zna jeszcze prawdziwego nazwiska Byrona," a w wyborze imienia wahał się „pomiędzy aniołem a szatanem" — dziś prawdziwy optymizm i strojność duszy stanowi drobną tylko oazę.

Skądże pochodzi ten ciężki, nie do zniesienia dolegający stan psychiczny wykształconego społeczeństwa? Skąd to głębokie i bezprzykładne rozgoryczenie wszystkich ludzi myślących w chwili, która nawet dla najbiedniejszego czyni dostępną pełnię takich rozkoszy duchowych i materyalnych, jakich przedtem nawet król zdobyć sobie nie był w stanie? Skąd? Oto z tej samej przyczyny, która późniejszych rzymian napełniała znudzeniem ku próżni życia, z której jedynie możliwą furtkę wyzwolenia widzieli w samobójstwie—z przeciwieństwa pomiędzy naszym poglądem na świat a wszelkiemi formami naszego życia indywidualnego, społecznego i obywatelskiego. Każdy czyn nasz zostaje w sprzeczności z naszemi przekonaniami, jest ich wyszydzeniem, jaskrawy im kłam zadającem. Pomiędzy poznaniem, pomiędzy tem, co uznajemy za prawdę a tradycyjnemi urządzeniami, wśród których zmuszeni jesteśmy żyć i działać, zieje otchłań zamości się niedająca. Nasze poglądy są przyrodoznawcze. Pojmujemy świat, jako masę materyi, której przymiotem jest ruch, a ruch ten, w zasadzie swej jeden i jedyny, dochodzi do naszego poznania w formie rozmaitych sił. Widzimy, że ruchem tym kierują pewne prawa, które po części poznaliśmy, określili, sprawdzili, a po części natrafiamy już na ich ślady. Od zapytania o ostatecznym celu i początku wszechrzeczy, jako w warunkach naszej organizacyi nierozwiązalnego, odstępujemy stanowczo. Dla dogodności, jako tymczasowy węzeł szeregu myśli, który, co do do formy, ułomkowym pozostać nie może, przyjmujemy wprost dowieść się niedającą — wieczność materyi. A to, jedyne w naszym systemacie dowolne przypuszczenie wystarcza nam całkowicie do wytłomaczenia wszystkich pozostałych zjawisk, a zarazem czyni zbytecznemi wszelkie domysły o woli i rozumie transcendentalnym. Jeżeli znów od tego poglądu na wszechświat, zstąpimy niżej: do naszego rodzaju, do ludzkości, tedy, ze stanowiska przyrodoznawczego, w ludziach uznać musimy nieodwołalnie pewien specyalny rodzaj życia, przystający szczelnie do szeregu organizmów, pod każdym względem ulegający powszechnym prawom świata organicznego. Nie uznajemy tedy zgoła możebności przyznania człowiekowi praw wyłącznych, albo też stanu łaski, któreby nie służyły zarówno każdemu innemu osobnikowi zwierzęcemu albo roślinnemu. Twierdzimy, że rozwój rodzaju ludzkiego, tak samo jak wszelkich innych rodzajów, wynika z nieodwołalnej konieczności przyrodzenia, że walka o byt, w najrozleglejszem znaczeniu, stanowi całą tkań zarówno dziejów ludzkości jak i bytu najciemniejszego żyjątka i tworzy podwalinę wszelkich zjawisk tak polityki, jak życia społecznego.

Oto jest nasz pogląd na świat, a z niego wynikają wszelkie nasze zasady życia, wszelkie pojęcia prawa i moralności. Pogląd ten stał się dziś składową częścią naszej kultury. Przenika on nas, jak to powietrze, którem oddychamy, i nikt a nikt poza jego atmosferą postawić się nie może. Pod nim stał papież, kiedy pisał wyklinającą go encyklikę. Wychowaniec jezuitów, którego starają się utrzymać odeń zdaleka, hodując go w sztucznej atmosferze scholastyki, jak się utrzymuje zwierzęta morskie w akwaryach przywożoną z daleka wodą morską — nawet on przejmuje się nim, widząc porozlepiane na murach ulicznych ogłoszenia, czytając pobożne gazety; całe jego życie duchowe napojone jest nim bezwiednie, zabarwione; mimowolnie nawiedzają go myśli i uczucia, jakich nie mógł mieć nigdy człowiek wieku jedenastego — nie zdoła on wymódz na sobie, ażeby nie być synem doby nowoczesnej i specyficznej jej cywilizacyi.

I z takim to poglądem na świat żyć musimy w kulturze zezwalającej chętnie, ażeby fatum urodzenia nadawało jednostce przywilej stanowienia o doli i niedoli kroci nieskończenie wyższych jednostek, ażeby dziewica z pewnem stanowiskiem życiowem zmuszaną była zaślubiać nie silne, piękne, kwitnące indywiduum, lecz brzydkie, chorowite, zniedołężniałe, dlatego, że ona należy do tak zwanej niższej warstwy; ażeby zdrowy i silny robotnik cierpiał głód, podczas kiedy niezdarny próżniak opływa w zbytek, którego nawet używać nie jest w stanie!... Ależ niepodobna tu wyliczyć całej masy potworności, błąkających się po społeczeństwie z tak wysoce dojrzałą kulturą, a źródło ich wszystkich jest jedno

---

głosem. Dziedzic niewieleby mógł powiedzieć, gdyby usłużny rządca, prawa ręka, pomny dawniejszego zachowania dozorcy u starego pana, nie nakładł mściwie w ucho młodemu chlebodawcy niestworzonych rzeczy.

Biedny dozorca... przygnębiony był tą napaścią. Tłomaczył się, jak mógł, jak mu pozwalała jego natura harda i świadomość, że ma żonę i dzieci czworo. Odpierał zarzuty, a czuł dławienie gardła. Serce mu żal i gniew rozdymał.

Ku stronie, gdzie młody dziedzic świecił swą pańską twarzą o dumnie wydętych ustach i oczach patrzących z góry, o wystającej naprzód szczęce dolnej, przekazanej mu przez ojców, co ją częściej, niż syn, mieli sposobność ku górze wznosić, zwolna zaczęli się schodzić i inni rzemieślnicy.

Pan wprawdzie wysiadł z powozu i na skutek przedstawień dozorcy poszedł sam obejrzeć roboty; nie odpędziło to jednak od koni ani traczów, którzy już od dwóch tygodni chodzili z kwitami od rządcy do leśniczego i od leśniczego do rządcy, ani innych, w podobnem będących położeniu. Czekali, otoczywszy powóz, aż dziedzic zacznie się zbierać do podróży i przypomni sobie ich należność.

— To dobrze, że pan sam tu przyjechał — wtrącił któryś z kowali czy kotlarzów — łatwiejsza z nim sprawa, niżeli z jego sługami.

— Mnie już z piętnaście rubli się należy — byłoby za co się oporządzić przed świętami...

— A ja myślę, że już kiedy, jak kiedy — ozwał się trzeci — ale teraz toby wartało panu naszemu pomnieć i o nas... święta za pasem, a grosza ni-ni...

— Toć on — słyszę — z góry wziął pieniądze od żyda... A cóż, nie prawda może, Piotruch, hę?

— Czemuż niema być prawda... I to prawda, że nasz pan myśli o żeniaczce... Ponosicie się jeszcze troszeczkę z kwitkami swoimi... A i ta „karyta!" Cóż, myślicie, że nie za te pieniądze, co żyd dał? Che, che... świeżuteńko z Warszawy sprowadzona.

I furman zanucił sobie coś pod nosem. Mrugnął głupowato, uśmiechnął się złośliwie, bąknąwszy „tak, tak," ziewnął i — zaczął drzemać. Spochmurniały twarze. Jedni się podrapali w głowy, inni, jak np. tracze, co tylko w koszulach przepasanych krajkami stali — także i w plecy...

Pan szedł ku powozowi, ale rządca go wyprzedził, żeby szturchańcem poczęstować woźnicę za to, iż śmiał zasnąć. Już dziedzic stawiał nogę na stopniu, gdy zewsząd podniosły się głośne i tłumione wołania: „Jaśnie panie, święta się zbliżają, ani grosza przy duszy, raczcie pamiętać!"..

I kilkadziesiąt rąk podniosło się, powiewając kwitami białymi i brudnymi...

— Później, później, moi kochani. W przyszłym tygodniu otrzymacie wszystko, co się wam należy — do rządcy!

Już któryś z rzemieślników wysunął się naprzód i miał zrobić uwagę, iż niejeden odbył wędrówkę od rządcy do leśniczego i odwrotnie, gdy konie, zacięte batem Piotrucha, ruszyły i kareta wraz z panem dziedzicem popędziła drogą leśną ku jego siedzibie rodowej.

Podczas tego zbiegowiska jeden tylko rzemieślnik, Łukasz Żóraw, który również jak jego koledzy pracował w Drzemlinie, ani się poruszył z izby, przytykającej do kuźni, gdzie od kilku godzin skończył swą robotę ślusarską i zamyślony siedział na ławie, przyparty do śrubsztaka. Tam, na tapczanie, u okna, wyglądającego na kartofle, kapustę i marchew pani dozorczyni, leżało kilka luf połamanych, zamków i kurków od strzelb, danych mu do naprawy przez syna dozorcy lub gajowego. Na zydlu, w kącie, spoczywały już wykończone zamki do drzwi, kłódki, nawet mosiężne wyroby, bo był mosiężnikiem i ślusarzem.

(D. c. n.).

i tylko jedno: głęboki, najwewnętrzniejszy rozszczep ducha w samym sobie; po jednej stronie czerstwe, dojrzałe przekonania, po drugiej zapleśniałe numizmaty: kłamstwo konwencyonalne. Proszę kostkę sześcienną zmieścić w kuli mającej równą objętość w przestrzeni! A takiem właśnie zdaje się być zadanie naszej kultury urzędowej. Każdy wyraz, który wymawiamy, każdy czyn, który spełniamy, jest kłamstwem przeciwko temu, co w duszy uznajemy za prawdę. Wpływ takiej wiecznej wojny domowej pomiędzy formami bytu a przekonaniami na życie wewnętrzne indywiduum jest tragiczny. Wygląda ono w oczach własnych, jak clown, który wszystkich pobudza do śmiechu, a w którego duszy własne jego żarty budzą ckliwość i smutek. Nieświadomość arcywybornie pogodzić się daje z pewnego rodzaju zwierzęcem zadowoleniem i można być szczęśliwym, jeżeli wszelkie otaczające urządzenia i stosunki, uważamy za sprawiedliwe i konieczne. Inkwizytorowie ławą katowską i stosem ścigając zwątpienie, chcieli zapewne na swój sposób wyświadczyć ludzkości dobrodziejstwo, ocalić jej rozkosz życia. Ale jeżeli się uzna, że odziedziczone instytucye zamarły i zbutwiały, że są czczemi, bezmyślnemi marami, strachami na ptaki albo dekoracyami teatralnemi... o! wtedy czuje się wszelkie męki i rozpaczliwe duszenia, jakich doznawałby człowiek żyjący, którego by zakopano w jednym dole z trupami, albo człowiek rozsądny, któregoby zmuszono żyć z obłąkanymi i podzielać wszystkie ich waryackie wybryki, aby nie doznać obelgi. Owa to głucha sprzeczność pomiędzy naszymi poglądami a wszystkiemi formami kultury, obok konieczności życia wśród stosunków, uważanych za kłamstwa — ona to robi nas pesymistami, ona sceptykami. Tu tkwi najistotniejsze, bo fizyologiczne źródło gorączkowego rozstroju, dotykającego wykształcone warstwy wszystkich narodów.

Autor robi krytyczny przegląd czterech zasadniczych form, w których rozwijała się cywilizacya; a mianowicie: rodziny, własności, państwa i religii; wskazuje przedewszystkiem — jako jedynie prawdziwy — *fizyologiczny* ich rodowód; ich postęp stopniowy i zwichnięcia jużto w skutek złej woli jednostek, jużto pod wpływem trafu, już przez tę ogólną wadliwość społeczeństwa ludzkiego, że aparat myślenia nie może nigdy dojrzewać równocześnie we wszystkich osobnikach. W końcu przychodzi do wniosku, że wszystkie te formy kultury, wystarczające pierwotnie, bo przypadające do względnej jej miary i stopnia, wciągu wieków coraz bardziej starzały się i karłowaciały w stosunku do mężniejącej świadomości społeczeństwa. Aż oto przychodzi chwila potwornej sprzeczności pomiędzy treścią a formami, które wbrew nieubłaganej logice wszechświata chciałyby pozostać wiekuiście temi samemi. Doszliśmy więc do tego, że łatwiej będzie słoniowi przesunąć się przez ucho igły, niż którejkolwiek z tradycyjnych form i wyobrażeń wnijść do królestwa prawdy.

Niepodobna tu będzie przedstawić wszystkich rysów, przekonywających o kłamstwach brukających dziś każdą dziedzinę, każdy zakątek naszych myśli, czynu i życia. Śmieliśmy się śmiechem homerycznym, kiedy w *Kladderdatsch'u* na rosłego, pleczystego szwaba wciskano gwałtem obcisły uniform pruski; a czyż śmiać się nie będziemy z gorzką ironią, widząc, jak jednostkom i społeczeństwom dojrzałym w samowiedzy każą ściskać barki i płuca skurczonym, niedopinającym się uniformem tradycyi, któremu oddawna już należałoby się miejsce pod kloszem, albo w muzeach starożytności?

Nadzwyczaj zajmującą jest podana przez autora geneza pojęć religijnych. Prowadzi ją mniej więcej trybem Feuerbacha a prowadzi z godnym poszanowania spokojem, do którego naturalnie i czytelnik jest obowiązanym. Religia, jestto najpowszechniejsze urządzenie, jakie zostawiła nam po sobie tradycya. Ogarnia ona jednym i tym samym związkiem najwyższe i najniższe rasy a węzeł jej negrą australskiego robi pokrewnym pojęciowo i sąsiadem w kulturze lorda angielskiego. Przypomina sobie czytelnik anegdotę o znanym ateuszu, który woła: „Bogiem się świadczę, że jestem ateuszem.“ Sam Dawid Straus idealizm swój, którego jądrem ma być zaprzeczenie wszelkiej religii nadzmysłowej, nazywa „religią“ przyszłości. Za źródło tych pojęć Nordau uważa: uczucie trwogi, materyalne i grube pojmowanie przez człowieka pierwotnego kategoryi przyczynowości, potrzebę ideału, a wogóle biorąc: antropomorfizm we wszelkich jego rodzajach i gatunkach, z którego nawet Schopenhauer wyzwolić się nie mógł, apoteozując wolę. Z tegoż samego źródła wynikł cały orszak dogmatów pobocznych: pojęć o duszy, o nieśmiertelności itd... Na tych jednak rysach mimowolnie ograniczyć się tu musimy.

(D. n.).

Z GALICYI.

Lwów, 30 kwietnia.

Siedm spraw kolejowych.—Z teatru.—Występy p. Celiny Chaumont.—Naiwność kokoty. - Balet.

Dzienniki nasze o niczem teraz nie rozprawiają tyle, co o kolejach. Inaczej zresztą być nie może, skoro każdy niemal dzień przynosi jakąś w tym przedmiocie niespodziankę. Oto np. wieść najnowsza. Hr. Ludwik Wodzicki, gubernator Länderbanku, ma zostać dyrektorem kolei północnej. Grajcie więc surmy — zagrzmijcie narodowe tarabany! Polak—czy wy słyszycie dobrzo — polak będzie najwyższym urzędnikiem kolei ces. Ferdynanda, tej samej, której polityka taryfowa trzyma w tak gorącym uścisku nasz przemysł krajowy, że nieborak ani z jednego komina nie może należycie dmuchnąć dymem w oczy niemieckiej industryi. Wprawdzie... Ach, to „wprawdzie...“ Że ja też nigdy nie mogę się obejść bez tego wyrazu! Owóż chodzi mi o to, że p. Wodzicki, choćby i rzeczywiście mianowano go dyrektorem, nie będzie miał najmniejszego wpływu na ustanawianie taryf, które należą do rady zawiadowczej. Ta zaś składa się i zawsze składać będzie z niemców, których przemysł galicyjski obchodzi tyle, ile, dajmy na to, obchodzić może etnologia i statystyka p. Stefana Buszczyńskiego. Wzgląd ten wystarczyćby powinien do jak najgorętszego poparcia upaństwowienia rzeczonej kolei, a jednak zdaje się już nie ulegać najmniejszej wątpliwości, że przywilej akcyonaryuszów przedłużonym zostanie na dalszych lat... pięć?.. nie!.. dziesięć?.. jeszcze nie!... Na dalszych lat osiemdziesiąt!..

To się nazywa robić interesy *en gros*.

Interesem na mniejszą skalę jest projekt rządowy upaństwowienia kolei arcyksięcia Albrechta w Galicyi. Jest to właściwie ścieżka kolejowa. Przejeżdżające po niej wagoniki zatrzymują się przed każdym dworkiem szlacheckim i przed każdą karczmą. Jeden z konduktorów tej drogi opowiadał mi, że siedząc raz w wagonie, rozmawiał z idącą obok kobietą, dźwigającą kosz kartofli na plecach. Żal mu się jej zrobiło i zaprosił ją do środka. Cóż jednak powiecie na to, że mu odmówiła, tłomacząc się, iż jej spieszno... Pospieszne pociągi chodzą, co prawda, szybciej od owej góralki, ale państwo dopłaca mimo to do kolei imienia cesarskiego stryja poważną sumę co rok.

Dlatego to rząd chce ją przejąć zapewne w swoją administracyę. Ale że to kolej galicyjska— pal cię grzech! Nic niemam przeciwko temu.

O decentralizacyi państwowych kolei galicyjskich głucho ciągle. Jego ekscelencya p. Grocholski, bawiąc przez święta we Lwowie i w Rożyskach, ani pary nie puścił z ust, a przecież on tylko, Pan Bóg i hr. Taaffe wiedzą, co się święci. *Nowej Prasie* zdało się wprawdzie, że i ona coś wie; podniosła więc gwałt, krzycząc na zamierzoną *Decentralisation und Nationalisirung*. Omyliła się jednak biedaczka, bo to, co podała jako zamiar, istnieje już oddawna, jako fakt. Można sobie stąd wyobrazić, co to będzie za hałas, jeżeli hr. Taaffemu uda się nakłonić p. Grocholskiego i jego towarzyszy do szczerego poparcia decentralizacyi...

Eisenbahnbau- und Eisenbahn - Verstaatlichungswuth (jakie to lube!) ogarnęła nas naprawdę. Oto nawet Lwów dowiedział się po kilku latach, że kolej lwowsko-rawska wychodzić ma ze Lwowa. Wszczął się skutkiem tego rozruch w mieście wielki, ojcowie miasta latali, jak oparzeni, aż wreszcie uradzili wysłać do Wiednia deputacyę. Co za wielcy ludzie wejdą w skład tego nadzwyczajnego poselstwa, nie pamiętam; to jednak wiem dobrze, że jeden z krajowych dzienników przed dwoma jeszcze laty nawoływał do tej wycieczki.

Rozpowiedziałem wam już o czterech sprawach kolejowych, wspomnę więc jeszcze dla całokształtu o zamiarze rządu upaństwowienia kolei lwowsko-czerniowieckiej. To pięć. Szósta dotyczy otwarcia ruchu na części kolei transwersalnej już d. 1 czerwca—siódma rozpoczęcia jazdy na drodze żelaznej Jarosław-Sokal w sierpniu. Jak widzicie zęby naszych pism mają dosyć materyału kolejowego do gruchotania.

W teatrze mieliśmy kilka nowości. Zaliczam do nich przedewszystkiem występy pani Celiny Chaumont, artystki paryskiego *Palais Royal*, która produkowała się tutaj ze swoim towarzystwem na początku b. m. przez trzy wieczory. Brzydka ta i leciwa niewiasta posiada głos „mały, ale nieprzyjemny,“ starała się nas zachwycić swoją naiwnością, którą pojmuje zawsze, jak paryska kokota. My tu takiej naiwności nie znamy, to też nie ze wszystkiem rozumieliśmy panią Chaumont. Należy jej oddać sprawiedliwość przecież. Gra paryskiej artystki jest w swoim rodzaju skończoną. Tak zdumiewająco naśladować rżenie konia pośród stadniny, albo mruczenie kota w marcu—nie wiem, czy kto drugi potrafi. To też nie waham się polecić tej pani jak najgoręcej wszystkim przedsiębiorcom „tingltanglów.“ U nas pani Chaumont zrobiła fiasco, czemu winne jednak i ceny zanadto przesolone, o których, aby wam dać miarę, powiem tylko, że loża parterowa kosztowała 30 guldenów.

Równocześnie z francuskiem towarzystwem zjechało do nas także „towarzystwo“ p. Łukowicza. Samo nogi—a jakie! Dla nas one były nowiną, to też balet p. Ł. uważamy tutaj za szczyt choreograficznej doskonałości. Każde *pas* było dla nas wyrazem niezrównanej gracyi — każdy piruet czemś niedoścignionem. Chodziliśmy więc do teatru i wypełniali go po brzegi, aż znudzony p. Łukowicz pożegnał Pełtew, aby uszczęśliwić Wełtawę.

Rewera.

Z Czerwonej Rusi.

Lwów, 25 kwietnia.

Nowy pochód „czarnego internacyonału“ na Ruś halicką.—Reforma oo. Bazyllanów i monaster Ławrowski.—Głosy prasy o oddaniu tego monasteru jezuitom.—*Nowa reforma*, *Gazeta narodowa*, *Kraj* i *Kuryer poznański* o tej sprawie.—Uwagi *Diła*.—Zamiar zwołania wiecu lwowskich rusinów i głos *Czasu* w tej sprawie.

Oddawna już krążyły po Rusi halickiej zatrważające wieści, iż jezuici, nie poprze-

stając na zdobytym monasterze bazyliańskim w Dobromilu, wkrótce mają wyciągnąć swe długie ręce i na inne tego rodzaju zakłady. Mówiono o zamiarze ich osiedlenia się w Buczaczu i objęcia tamtejszego klasztoru, utrzymującego gimnazyum. Zdaje się, że w istocie mieli podobny zamiar, gdyż paru braciszków jeździło tam na zwiady. Porzucili jednak ten plan, niewiadomo dlaczego, i zwrócili swe oczy na inny przybytek bazyliański w Ławrowie. Monaster ten bardzo dawny, fundowany jeszcze przez kniaziów ruskich przy końcu XIII lub w początku XIV wieku, do niedawna utrzymywał wzorową czteroklasową szkołę. Nagle w początku bieżącego roku ruskie gazety podały wiadomość, że jezuici myślą go zdobyć. Wieść ta wcale nie była wielką niespodzianką, już chociażby dlatego, że wydana przed dwu laty bulla papieska o reformie zakonu Bazylianów odduje dzieło tej reformy jezuitom, poruczając im prowadzedzenie nowicyatu w Dobromilu, że zatem w krótkim czasie wszystkie monastery muszą być zapełnione jezuickimi wychowańcami, gdyż przejście przez ten nowicyat jest dla każdego nowowstępującego bazylianina obowiązkowem. Że zaś ci wychowańcy nie o wiele będą się różnili od swych nauczycieli, o tem rusini mogą już z góry wiedzieć. Mimo to wieść przeraziła ich. „Jak niegdyś drżał nasz naród na krzyk: tatarzy! tatarzy! tak dziś drży na krzyk: jezuici! jezuici!“ — takiemi słowy odezwało się *Diło*, gdy nawet krakowska *Nowa Reforma* z pewnego źródła potwierdziła pogłoskę. A trzeba wiedzieć, że polskie gazety, skoro tylko wieść owa pojawiła się w ruskich, jednogłośnie okrzyknęły ją kłamstwem, wymyślonem jedynie dla agitacyi, dla drażnienia umysłów. Gdy atoli *Nowa Reforma* stanowczo poręczyła, gdy nadto ruskie pisma na podstawie dokładnych informacyj doniosły, że nie idzie tu nawet o oddanie ławrowskiego monasteru wychowańcom jezuickim, t. j. „zreformowanym Bazylianom,“ lecz że sami jezuici, rozszafowawszy ogromny majątek klasztoru dobromilskiego (gdzie samej gotówki znaleźli i przywłaszczyli sobie przeszło 160,000 złr.) wyciągają ręce po dobra ławrowskiego, by podreperować finanse dobromilskie i przenieść część nowicyatu do Ławrowa—wówczas wypadło przecież oświadczyć się na którąś stronę. Sumiennie powiedzieć możemy, że stanowisko, zajęte przez prasę polską w sprawie tak żywo obchodzącej rusinów a niemniej i polaków, gdyż *dotykającej samego rdzenia unii*—wcale nie przynosi jej zaszczytu. *Nowa Reforma* postąpiła jeszcze stosunkowo najuczciwiej, bo wybuchnęła pierwsza, donosząc o zamiarze jezuitów i zakładając ze swej strony stanowczy protest. Lecz wkrótce widać poznała, że tego było za dużo, gdyż od owej chwili milczy uparcie, zbywa rzecz krótkiemi i suchemi notatkami, które nie zawsze grzeszą bezstronnością. Gazety lwowskie i na tyle uczciwości zdobyć się nie mogły. *Dziennik polski* z początku niby protestował, później zaczął kręcić, twierdząc, że idzie tu jedynie o oddanie Ławrowa „zreformowanym“ Bazylianom, chociaż pisma ruskie wykazały jasno, że i tak już w Ławrowie dawnych Bazylianów niema, lecz sami „zreformowani.“ Obecnie *Dziennik* także ucichł. Najciekawszą atoli rolę odegrała tutaj *Gazeta narodowa*, która z początku zajadle uderzała na rusinów za wymyślenie niepokojącej i na agitacye obliczonej wiadomości, później zaś, gdy wieść okazała się zupełnie prawdziwą, również zajadle uderzyła na rusinów za to, że śmią agitować w celu własnej obrony i że zwalają winę tego zamachu na polaków. Nawiasem tylko, dla salwowania swego honoru przed ludźmi nieświadomymi o co chodzi, wypowiedziała, że jest stanowczo przeciwną „wychowaniu naszej młodzieży przez jezuitów.“ Rozbierając ten wrzekomy protest, *Diło* zauważyło, że *Gazeta narodowa* nie występuje ani przeciw wychowaniu rusińskiej młodzieży przez jezuitów, ani też oddaniu chociażby całej halickiej Rusi w ich ręce.

Najenergiczniej oświadczył się przeciw pogwałceniu autonomii grecko-unickiego kościoła i zakonu petersburski *Kraj* a także *Dziennik poznański*. Lecz za to całkiem inaczej widzi prawdę katolicki *Kuryer poznański*, gorliwy wyznawca między innemi także wynalezionej przez *Czas* krakowski idei „szlachetnej denuncyacyi.“ Nie dostrzega on w tem „nic dziwnego, że jezuici, nie mając już dość miejsca, ani pieniędzy w Dobromilu, przenoszą się i z sobą część nowicyatu do Ławrowa; owszem, rusini powinni im być za to wdzięczni.“ A więc dla katolickiej gazety wdarcie się w cudzą własność, przywłaszczenie i roztrwonienie cudzego majątku, wyciśnienie prawego właściciela, bezprawne złamanie woli fundatorów i również bezprawne złamanie paktów unii, wszystko to — nic dziwnego! Piękna etyka! Czy i wobec takich twierdzeń ośmieli się później kto powiedzieć, że polskie ręce i polskie sumienia pozostały zupełnie czyste w tej sprawie, która, jak żadna inna, jest w stanie silnie rozjątrzyć niezabliźnioną jeszcze ranę plemiennej i religijno-obrzędowej waśni? I—*cui bono?*

Wobec takich stosunków rusini, widząc, że i obecnie, tak jak zawsze, pozostawieni są własnym jedynie siłom, myślą poważnie o ratunku. Bractwo stauropigialne, najstarsza i najpoważniejsza instytucya narodowa rusinów, odbyło pod przewodnictwem swego seniora, profesora tutejszego uniwersytetu, znanego i w polskiej naukowej literaturze historyka dra Szaraniewicza, nadzwyczajne posiedzenie, na którem na wniosek posła prof. Romańczuka, uchwalono zwołać wiec do Lwowa na dzień 4-go maja dla wspólnej narady w tej sprawie, a oprócz tego wybrać deputacyę, którąby pod przewodnictwem obywatela Wł. Fedorowicza udała się do Wiednia i przedstawiła najwyższym władzom świeckim i nuncyaturze papieskiej obszerny memoryał o pogwałceniu praw kościoła grecko-unickiego, poręczonych wszystkimi aktami unij kościelnych. Memoryał ten, którego opracowaniem zajęli się najlepsi rusińscy historycy i prawnicy, wykaże dobitnie, że *sama Kurya rzymska* przez wydanie bulli o reformie Bazylianów zapomocą jezuitów *złamała unię, a więc rusini odtąd za złamaną i nieważną uważać ją będą.*

Ciekawa rzecz, jak o tych zamiarach odezwał się urzędowy organ „decydujących kół“ polskich, krakowski *Czas*. Wspominając o agitacyi rusińskiej w sprawie Ławrowa, wylewa potoki łez na „nierozwagę“ *Nowej Reformy* za to, że „przedwcześnie“ zdradziła rusinom zamiary Kuryi rzymskiej. Jednym tchem nazywa on całą wiadomość „bezpodstawną“ i reformę Bazylianów przez jezuitów — aktem niecofniętym; żali się, że rusini „nie usłuchają żadnych słów uspokajających“ i że wzburzenie pomiędzy nimi coraz większe przybiera rozmiary. Nietyle go trwożą rusińskie memoryały i deputacye, którebу przejechały się do Wiednia — straszny dla niego rusiński wiec, ten „upiór, niepotrzebnie wyzwany,“ przeciw któremu z góry już rzuca gradem denuncyacyj i nawołuje policyę, gdyż będzie to „siejba nienawiści przeciw wszystkiemu co polskie, daleko skuteczniejsza, niż propaganda, za pomocą broszur i piseмek ludowych.“ Lecz o tem, czy rusini mają słuszne przyczyny protestować przeciw pogwałceniu praw swego kościoła, pobożny organ stańczykowski ani słowem nie wspomina. Czy to tak się traktuje braci, tych, z którymi by się chciało żyć zgodnie?

Darujcie mi, jeżeli w powyższem przedstawieniu smutnych ze wszech miar faktów, przypominających nam raczej krwawe czasy zapasów kontr-reformacyjnych niż drugą połowę XIX wieku, mimowoli czasem z tonu objektywnego sprawozdawcy wpadałem w ton obrońcy. Uważając religię i obrządek za czynnik kultury, który obecnie już skończył gra na „pierwszych skrzypcach“ i ustępuje zwolna na dalsze plany ludzkiego rozwoju, tem więcej ubolewać muszę, że nad narodem rusińskim gromadzą się czarne chmury, które przez krzywdę i przemoc muszą wywołać walkę właśnie o owe przeżyte formy, walkę, w której naród absolutnie nic zyskać nie może, a w której nawet przy najlepszym rezultacie straci bardzo dużo. Gdyby tutejsze polskie społeczeństwo stało na wysokości swego zadania i miało na tyle dojrzałości politycznej, by zamiast szemrania na „agitacye rusińskie“ wystąpiło na pomoc rusinom, w obronie unii, przeciw krzywdzie i bezprawiu—nie wątpię, że chmura ta przeszłaby prędzej i bez wielkiej szkody, gdyż rząd austryacki, jak zawsze chwiejny i niezdecydowany, także i w „reformie“ Bazylianów zachował sobie wolną rękę i mógłby w razie większego nacisku ze strony społeczeństwa w jednej chwili cofnąć jezuitów. Osądźcie, czy to nie byłoby i uczciwiej i rozumniej i korzystniej dla kultury i postępu, i czy krok taki nie musiałby stać się pierwszym ważnym ze strony polskiej wkładem do wspólnej skarbnicy wzajemnie wyświadczanych dobrych uczynków, na których jedynie może ugruntować się braterska zgoda obu narodów?

Na zakończenie słów parę o p. Władysławie Fedorowiczu, przywódcy przyszłej deputacyi rusińskiej do Wiednia w sprawie monasteru ławrowskiego. Jest to jeden z najmajętniejszych właścicieli ziemskich na Podolu galicyjskiem, potomek dawnej ruskiej szlachty Fedorowiczów herbu Oginiec, wywodzącej ród swój od dynastyi książąt Rurykowiczów. Ród ten należy do niewielu szlacheckich na Rusi, które nie zaparły się swej narodowości i swego obrządku. Ojciec Władysława, Jan Fedorowicz, w 1848 roku razem ze Smolką poseł na sejm ustawodawczy wiedeński, podczas reakcyi biurokratycznej w zaciszu domowem pracujący nad zarysem całokształtu filozofii, w którym współcześnie prawie z pomnikowemi pracami Spencera i Darwina staje na gruncie teoryi rozwoju, umarł nagle w r. 1870. Syn jego Władysław, dziedzic rozległej fortuny, którą od tego czasu umiejętną gospodarką prawie podwoił, znany jest także jako pisarz w polskiej i rusińskiej literaturze (z polskich jego pism najważniejszą jest praca *Szkolnictwo ludowe w Anglii*), człowiek bardzo czynny i światły, ma w istocie wszystkie warunki po temu, by prędzej czy później stać się wybitnym przewodnikiem ruchu rusińskiego w Galicyi. Był on już przez kilka lat prezesem towarzystwa „Proświta,“ które hojnie uposażył sumą 10,000 złr.—jest obecnie członkiem prawie wszystkich rusińskich stowarzyszeń i instytucyj i żywo interesuje się wszystkiem, cokolwiek dotyczy dobra i przyszłości Rusi. Jak ojciec jego był autorem pamiętnych słów, że *na Rusi tylko rusinem być można*, tak on wychodzi zawsze z tego twierdzenia, że *być rusinem, a nie pracować dla Rusi, to lepiej nim wcale nie być.*

Myron.

WACŁAW SZYMANOWSKI

(jako poeta i dramaturg).

II.

Czasami chwyta w rękę p. Szymanowski satyryczny biczyk, ale nie chłoszcze nim silnie, chociaż zgrabnie podcina ludzkie słabostki. Nieraz satyra jego staje się zwykłą gawędką na bieżące tematy (Treny żałosne stolików od kart), tryska werwą figlarną raczej niż zjadliwą, drwi dowcipnie z głupoty ludzkiej, albo spokojnie wyrzeka na bezsil-

ność wobec zrządzeń losu (Niedołęga), przeciw którym poeta nie podnosi namiętnego protestu. Nawet gdy występuje poważnie w roli oskarżyciela nędz wieku, gdy wytacza proces dzisiejszemu utylitaryzmowi w imię zapomnianych lub zdeptanych haseł przeszłości (J. I. Kraszewskiemu, Wiek żelazny), nie znać w jego słowach głębokiej siły przekonania albo namiętności pogromczej. Jest on wtedy gładkim kaznodzieją konserwatyzmu, a gdy wymowę swą zwróci do zwykłych codziennych zagadnień życiowych rozpływa się zwykle w morałach zaprawnych trochę dziwaczną symboliką. Retoryczno-idealny nastrój jego talentu odbija się wyraźnie we wszystkich utworach dramatycznych, jakkolwiek poczętych i wykonanych w różnorodnym tonie i charakterze. Nie jest on realistą, ani bystrym dostrzegaczem właściwości psychicznych i chętniej myślą przebywa w zamierzchłych światach przeszłości, aniżeli śród bieżących zagadnień i współczesnych ludzi. Pierwszy jego obrazek „Matka“ jest deklamacyjną mieszczańską sielanką, w której odnosi zwycięstwo wzięta na próbę cnota ubogiej szwaczki. Pomimo zbyt cukrowego idealizmu i nadmiaru cnotliwej gadaniny niektóre sceny nacechowane są głębszą rzewnością, a jedna postać posiada typowe, komiczne zacięcie. Raz jeden tylko pokusił się p. Szymanowski na większą komedyę *Dzieje serca*, pojętą i wykonaną w pół-klasycznym stylu Ponsarda. Przed dwudziesto czteroma laty konkurs dramatyczny uwieńczył ją pierwszą nagrodą zapewne dla harmonijnej budowy i pięknej formy wiersza; dziś jednak straciła już ona barwę świeżości i należy do obyczajowych pozostałości danego momentu. Tłem jej jest niepodniesione do dramatycznej tęgości starcie idealnych pragnień uczucia z względami światowymi i realną rachubą. Bez wielkiego wysiłku szlachetny idealizm życia zwycięża tu, a nawet dzięki poparciu tych czynników, które w toku sztuki posiadały siłę pieniężną, ożenioną z trzeźwym, praktycznym rozumem. W ubocznych motywach sztuki widzimy pierwsze drgnięcia protestu przeciw bezpłodnemu idealizmowi, który chciałby odbudować pomyślność kraju za pomocą poetycznego marzycielstwa. Występuje tu do zbytku potem powtarzany tendencyjny typ trzeźwego pracownika, który wprawdzie gada czasem językiem zakrystyi, umie jednak godzić podnioślejsze pragnienia duszy z praktycznemi wymogami rzeczywistości i powstaje na „skostniałość“ bezwzględnych czcicieli poezyi, lekceważących utylitarną stronę życia. W innem znów miejscu trochę narwany, ale prawy i szlachetny mistrz rymowanego słowa najwyraźniej powstaje przeciw panegirycznym nałogom narodu, który nie lubi z ust wieszczów słuchać głębszej prawdy, ale chce, aby „cnót jego ogon podziwiano pawi.“ W tej semej figurze p. Szymanowski wyśmiał także pretensyonalność wieszczów i wieszczyków, kwilących bezpłodnie, roztapiających się w mdłym sentymentalizmie, jęczących skargą na obojętność świata. Pomimo tu i owdzie widocznych domieszek pobożnej frazeologii, z tej komedyi wieje już trzeźwy duch pogodzenia idealnych pragnień z realnymi warunkami życia, jakkolwiek autor po nad grubą materyalną rachubę stawia poczucie godności człowieczej. Nawet z tej strony ukazuje ciekawą postać finansisty, narysowaną subtelnie i zręcznie, w której rysy bankierskiego egoizmu i pychy miarkują się szlachetnem uszanowaniem cudzych potrzeb duchowych. Oprócz tej postaci inne wyglądają dziś jak sceniczne ogólniki, które krasi do pewnego stopnia piękność i potoczystość wysłowienia zdobnego udatną rymów muzyką. W najnowszym jednoaktowym dramaciku *Ostatnia próba* p. Szymanowski potrącił o realizm w dzisiejszem, skrajnem znaczeniu, wyprowadził na jaw kwestyę dziedziczności i leczenie początków obłędu za pomocą bohaterskiego kłamstwa. Wobec własnej córki matka dobrowolnie kala się przyznaniem nieistniejącej hańby, aby tylko przekonać, że w jej żyłach nie płynie krew obłąkanego ojca. Z tym zdecydowanym naturalizmem pomysłu nie szedł w parze charakter wykonania, okraszonego szlachetną lirycznością.

Że p. Szymanowski, właściwie mówiąc, nie ma poczucia realizmu w dramacie, ale usilnie dąży do poetyczności, dowodem trzy jego większe utwory bardzo nierównej miary. Pięcioaktowy dramat *Sędziwój*, najmniej udatny, jest dość luźnem usceniczowaniem kilku przygod z żywota alchemika czy szarlatana, który ani pod względem psychicznym, ani moralnym nie budzi wielkiego zajęcia. W jego postaci autor skupić chciał pomysł niedojrzałego apostolstwa idei, której, aby być godnym, trzeba się pozbyć powszednich życia małostek. Sędziwoj widzi w „sztuce Hermesa“ swe wysokie duchowe powołanie, dla którego nie waha się nawet usuwać od służby obywatelskiej w czasie bojowym, a gdy los mu dał w ręce okruchy wielkiej tajemnicy, odziedziczonej po większym od niego mistrzu, używa ich, aby cudzym kosztem błyszczeć próżną ostentacyą w obcym kraju. Naprzeciw niego autor postawił piękną istotnie postać mistrza Setuna, przejętego głębokiem poczuciem swej misyi a zranionego do głębi duszy nędzą ludzi, którym nie chce powierzyć wielkiej tajemnicy, owocu swych dociekań, wiedząc, że byłoby to daniem miecza w szalone ręce. Jakkolwiek trudno brać na seryo ową pewność Setuna, który szczyci się posiadaniem filozoficznego kamienia; jakkolwiek trudno nam przejąć się namaszczeniem, z jakiem traktuje kunszt alchemiczny, ale przyznać trzeba, że autor potrafił mu nadać szlachetną podniosłość duchową, owiać poetycznym czarem męczeństwa. Sam zaś bohater, czasami dziwnie chwiejny, nie podbija zapałem dla sprawy, której służy i zaplątany w matnię własnej próżności wydobywa się z niej dzięki pomocy rodaków. Obok zjadliwych wycieczek na niemiecką przewrotność poeta kończy utwór sprowadzeniem zbłąkanego syna kraju do rodzinnego gniazda i wypowiada kościelny morał odzyskania łaski przez skruchę. Oprócz kilku scen pięknych i paru epizodycznych postaci, całość wypowiedziana płynnie i potoczyście nie uderza ani dramatycznem skupieniem, ani dosadnością rysunku i okazuje czasami brak dostrojenia autora do pożądanej poetycznej tęgości.

Daleko wyżej pod tym względem stoi *Salomon*, poważny a posępny dramacik żydowskiego fanatyzmu, w którym ojciec, sędziwy kapłan starego Zakonu, godzi nożem w pierś własnej córki za to, że zdeptała tradycyę, wyciągając ręce ku krzyżowi. Fakt mściwego morderstwa neofitki, dość częsty w kronikach fanatyzmu, występuje tu w uroczystej powadze, a duch izraelskiej prawowierności ukazuje się w swej groźnej a posępnej sile. W literaturze naszej *Salomon* jest jednym z tych nielicznych utworów, które wskazują nam judaizm w jego duchowem wnętrzu, a nie w powierzchownem tylko zetknięciu z ogółem społeczeństwa. Stojąc na chrześciańskim punkcie widzenia, okalając blaskiem poezyi postać rozanielonej przez nową wiarę dziewicę, poeta jednak nie malował fanatyzmu żydowskiego rysami jednostronnej nienawiści, ale umiał wniknąć w logikę jego prawowierności. Koloryt utworu—idealny, tu i owdzie potrąca o ton biblijny, nastrój religijny utrzymany podniośle i równo, czasem trochę przypomina operową pompę, w jednej postaci występuje silnie paląca gwałtowność i mściwość rasowa. Tylko jedyna nieżydowska osobistość mąci ton ogólny przez bladą frazeologię; całość zresztą, jakkolwiek oparta na ciasnej idei prawowierności, wyróżnia się ze wszystkich utworów p. Szymanowskiego szerokością stylu, pewnym stopniem siły dramatycznej i artystycznem upostaciowaniem.

Najbardziej jednak oryginalne sceny i pomysły częściowe można znaleść w 3-aktowym dramacie *Posąg*, w którym autor złożył próbkę swych studyów nad wiekiem odrodzenia we Włoszech. Poczya kobiecego demonizmu łączy się tutaj z obrazem rozluźnienia obyczajów, rozpętania dzikich instynktów człowieczych, po nad którymi unosi się jeremiaszowe słowo karciciela. Kompozycya utworu luźna, niektóre jej szczegóły oparte na znanych scenicznych efektach, postacie mają pewne włoskie zarysy, tonące jednak chwilami w niepewnym mroku. Wszystkim żywiołom dramatu brak dostatecznej ekspresyi, aby złożyły się na pewne malowidło ludzi i epoki, naszkicowanej trafnie w szczegółach i podmalowanej częściowo właściwym kolorytem. W obrazie zbłąkania ludzkiej natury, idącej manowcami rozpusty i upodlenia, gdy zapomni o przestrogach wiary, występuje znowu ta idea religijna, którą poeta stara się uczynić górującym akcentem swych większych utworów, powracając nieraz do tej zasady, że tylko „myśl boża“ może wszczepić ład w życie ułomnej rzeszy ludzkiej.

Jako dramaturg p. Szymanowski niema dość energii w postaciowaniu pomysłów i malowaniu namiętności, które stanowią główną siłę rozpędową dla każdej żywszej akcyi. Tylko w *Salomonie* oparł się na dosadnem starciu pragnień jednostki z otoczeniem, wyprowadził istotnie głęboko dramatyczne przeciwieństwo uniesień duchowych neofitki z zachowawczością skostniałej tradycyi. Jako retoryk i liryk p. Szymanowski nie posiada daru tworzenia tkaniny charakterów z nitek różnorodnej przędzy. Większa część jego postaci ulepioną jest z frazeologicznej gliny, która czasami bywa porcelaną, okraszoną wabnym malowidłem. Zdarza mu się stworzyć osobistość piękną, wytrzymaną w ogólnych konturach, zdarza się rzadziej naszkicować postać, mającą tętno życia, ale nigdy nie stworzył pogłębionego *charakteru*, zawierającego organiczną wielość i spójnię cech psycho-fizycznych. Właściwie mówiąc, niema on temperamentu dramatycznego, nie podchwytuje na gorącym uczynku głębszej roboty duszy, jest może dość przedmiotowym, ale mało plastycznym.

Obejmując teraz całość jego poetycznej roboty, trudno nam schwycić jakiś rys górujący, jakiś punkt zbieżności dla dążeń twórczych, właściwych prawdziwie oryginalnym artystom pierwszej wody. Wprawdzie idea religijna przewija się tu jak zwrotka każdej większej poetycznej całości, ale poeta, jako syn wieku, nieodosobniony od jego wpływów, nie mógł wyrazić jej z prawdziwą siłą odczucia i ucieleśnienia tak, aby można mu w naszym Parnasie wyznaczyć odrębne miejsce „bożego piewcy.“ W całym zawodzie poetycznym p. Szymanowskiego nie widać rozpędowego kroczenia, podsycanego ciągle tlejącym ogniem odrębnej, indywidualnej pracy ducha. Twórczość jego działa często za potrąceniem francuskich wpływów, a wszędzie prawie znać w nim wirtuoza, który jest zawsze biegłym, zawsze poprawnym, a falując na różne sposoby i tony, dobywa tu i owdzie dźwięki, jeżeli nie natchnione, to strojne i piękne, niezależnie od całej powodzi zwykłych koncertowych arabesek. Nic dziwnego, że taki wirtuoz formy jest prawdziwie znakomitym tłomaczem francuskich dramatów, przeważnie klasycznego pokroju. Wprawdzie swoboda słowa każe mu często odstępować od tekstu i grzeszyć dowolnością, zwłaszcza w pełnym werwy i tężyzny komicznej przekładzie *Mizantropa*, wprawdzie niezawsze umie się zdobyć na nerwową siłę i jaskrawość stylu Huga, ale w każdym przekładzie umie zatrzeć zupełnie ślady trudnej roboty przekształcania cudzych myśli w odlewie rodzi-

mogo słowa, tak, że przyswojone utwory posiadają swobodę i potoczystość dzieł wykonanych oryginalnie. Zwłaszcza „przetworzenie“ tragedyi Délavigne'a *Parya* jest prawdziwem arcydziełem retoryki poetycznej, tętniącej siłą i jędrnością, a w oryginalnych chórach do tej tragedyi p. Szymanowski rozwinął wytworną muzykę słowa.

J. Kotarbiński.

JAK PRZYSPORZYĆ ZIEMI I CHLEBA?

Na pytanie powyższe, stanowiące dla naszego ludu kwestyę równej wagi z Szekspirowskiem „to be or not to be“ dał odpowiedź w broszurze świeżo wydanej nakładem księgarni K. Prószyńskiego niejaki p. Marcin Mizera, piszący „dla użytku sąsiadów.“ I zapewne nietylko wieśniak nasz na roli siedzący, lecz i niejeden surdutowiec, którego losy chłopskie obchodzą, a bieda chłopska boli, z zaciekawieniem niemałem broszurę o podobnym tytule czytać rozpoczął; bo że włościanin ma ziemi niewiele, że mu głód często dokucza, że nawet znaczna część ludu chleb jako rzadki przysmak na stole swym widuje — są to wszystko fakty niezaprzeczone, chociaż mało się o to troszczą ekonomiści, marzący o zaokrąglaniu wielkich posiadłości, lub narzekający na wysokość płacy roboczej u nas.

Zobaczmyż więc, jak na tę biedę radzi p. Marcin Mizera.

Rozpoczyna on broszurę od gorącej obrony prawa własności indywidualnej, które jakoby od Boga pochodzi, bo „sam Bóg chciał by praca człowieka i co z pracy ma należało do niego.“ Chociaż możnaby nieco pospierać się o genezę tego prawa, to jednak przyznać należy, iż tak pojęte staje się zasadą wzniosłą i piękną. Wszakże oczywiście nie o taką, na pracy opartą i w pracy uzasadnienie swoje czerpiącą własność chodzi, gdy mowa o przestrzeniach stuwłókowych. Lecz p. Mizera różnicy pomiędzy temi dwiema kategoryami własności albo nie dostrzegł wcale, albo też wolał o tem przemilczeć.

Następnie rozwija on wysoce optymistyczną teoryę etyczną, według której każdy, kto się choć raz czynu nieprawnego dopuści, odpokutuje za to nietylko w życiu przyszłem, lecz nawet bezpośrednio dotknie go „albo pomorek dobytku żywego, albo kalectwo, albo mu Bóg dziecko zabierze itd.“ Teorya taka ułatwia znakomicie zadanie moralistów. Niestety, ponieważ fakty codziennie jej zaprzeczają, morał to stracony i, co gorsza, zasada sama, broniona tak niewymownymi argumentami, ucierpieć na tem może w umysłach czytelników.

Taką właśnie karą za „wcinanie się do borów pańskich, worywanie się w grunty dworskie lub zapędzanie się w paśniki“ jest... przechodzenie ziemi w ręce niemieckie. Właściciele, wyprowadzeni z cierpliwości, sprzedają ziemię, a chłopi tracą możność służenia we dworze jako parobcy, fornale itd. A chociaż służba ta, zdaniem naszem, nie jest wcale rajem, a więc i jej utrata nie może być karą zbyt dotkliwą dla chłopów, jednak, podzielając zdanie autora co do germanizacyi, przyznajemy słuszność środkom, jakie podaje, by się od niej uchronić. „Niechby — pisze p. Mizera — wójci po gminach ściągali wiadomości, kto potrzebuje ziemi, a jak do nabycia znajdzie się coś w tej lub owej gminie, to się wójci zniosą ze sobą i dadzą znać tym, co są u nich zapisani. Gdzie zaś nie poradzi jeden, tam do kupna niech staje cała gromada...“ Myśl godna uznania: zwłaszcza projektowany bank włościański mógłby w podobnych operacyach wielką przynieść korzyść. „Od wiślanego wylewu — dodaje p. Mizera — chroni wedle Modlina tama. A my jakie sypiemy przeciw niemiectwu tamy?“

Nie możemy więc nie współczuć temu „Szczęść Boże,“ jakie autor zasyła chłopom, którzy w Kaliskiem i Radzymińskiem „gracko sprawiają się, kupując ziemie folwarczne i wykupując grunty z rąk niemieckich.“

Lecz logiczny i bezstronny, gdy chodzi o niemców, staje się autor zupełnie innym, gdy dotyka sporu chaty z dworem. Dziedzic, zdaniem jego, nietylko że pozwalają (!) włościanom korzystać z serwitutów, lecz jeszcze dorzucają drzewa, bydła nie rachują itd. Nie tak robiliby niemcy. Potrzeba więc co najprędzej kończyć ze służebnościami, nie drożyć się zbytnio, lecz brać, co dwór daje. Bo to „tylko człowiekowi prostemu wydaje się, że nie wiedzieć co ma w tych paśnikach na dworskiem“ — a właściwie, to nie warto zachodu. Na dowód, opowiada p. Mizera, że gdzie nastąpiła zamiana tam „i ziemi przyrosło, i każdego gospodarza jest w stodole i w obórce,“ nie wiadomo tylko, czem te obórki i stodoły się naprawiają i jak radzą sobie ludzie bez łąk i paśników.

Jest jeszcze w broszurze p. Mizery niezły ustęp o pijaństwie i coś o szynkarkach „katolickich niewiastach o licu gładkiem;“ dalej obrona szlachty od zarzutu „nieobecności w gminie,“ którą wypowiada niejaki Szczurzyk „chłop polski jak się patrzy.“ Mówca ten przyznaje, iż „za szlachtą są grzechy,“ lecz — dodaje — „nam tego na biały dzień wywłóczyć nie wolno,“ za to o chłopskich grzechach rozprawiać wolno (wygodnie, nieprawdaż!) Pierwszym z tych grzechów jest „brak karności i posłuszeństwa;“ „gdyby więc który szlachcic zaczął *rządzić twardo*, toby go chłopi zakrzyczeli,“ a takiego skrępowania woli szlacheckiej autor widocznie nie życzy sobie wcale. Skarży się on dalej, że chłopi unikają wydatków, że więc panowie muszą „wykładać tysiące“ na utrzymanie dróg itd. Lecz kwintesencyę mądrości p. Mizery stanowi jego teorya podatków. Wygłosiwszy bardzo piękną i chwalebną zasadę, że „słuszność nie zna wyróżnień: równe prawa, równe ciężary, *a miarą wyrównania siły—zamożność*,“ rozwija ją dalej w sposób następujący: „Dwór do swoich 25 włók potrzebuje parobków, włódarzy, ratajów itd. Włościanin zaś nie potrzebuje pomocy niczyjej. Zatem włóka włościańska dochodniejsza, a tymczasem ciężary w jednakiej mierze są rozkładane. Oprócz tego dwór opłaca szkoły dla dzieci i *inne wydatki związane z dworem*, włościanin zaś ma potrzeby ograniczone...“ Słowem, według p. Mizery, kapitał jest wyzyskiwany przez pracę, a dla usunięcia tego potrzeba, by chłop płacił podatek dodatkowy za to, że sam pracuje na roli, właściciel zaś wielkiej posiadłości powinien pobierać premium za to, że pracują na niego rataje, włódarze itd. Oprócz tego za życie wygodne i za użytkowanie z darów oświaty i cywilizacyi, oraz za wszelkie wydatki „związane z dworem“ obywatele mają być wynagradzani z owoców pracy chłopskiej, która aż zanadto wystarcza na zaspokojenie surowych potrzeb włościanina. Przynajmniej jasno i otwarcie! A wygłasza to wszystko w broszurze „chłop polski jak się patrzy!“

Na pytanie przeto, wypisane w nagłówku, odpowiada p. Mizera tak: Dla przysporzenia ziemi i chleba powinni włościanie: po pierwsze pozbyć się co najprędzej łąk, lasów i paśników na warunkach, proponowanych przez dwory; powtóre wybierać na urzędy gminne samych tylko dziedziców, przyczem nie powinni stawiać opozycyi w razie *twardych rządów szlacheckich;* po trzecie zmienić obecny system podatkowy, przyjmując na siebie ciężary, dotąd przez dwory ponoszone.

Łatwo się z tego domyśleć, jaki to „sąsiad“ przemawia w ten sposób do swych siermięgowych współbraci. Szydło zanadto często wyłazi z worka w broszurze p. Mizery, by co do tego mogły pozostać jakiekolwiek wątpliwości. Lecz może autor miał na myśli pytanie: „jak przysporzyć ziemi i chleba... wielkim właścicielom?“ — jeżeli tak, to sąd swój o książce cofamy, uznając, iż odpowiada ona całkowicie swemu zadaniu. Lecz niech nam wolno będzie w takim razie zwrócić się do wydawcy z zapytaniem: czy książeczki w rodzaju niniejszej nie zmniejszają zaufania ludu do drukowanego słowa? A więc, czy wolno nam tak nieopatrznie zagradzać jedyną drogę, którą światło dostać się może tam, gdzie go tak bardzo i tak wiele potrzeba?

Zauważmy na zakończenie, że forma, styl, układ broszury nie pozostawiają nic do życzenia. Autor włada wybornie językiem ludowym i mógłby zająć pożyteczne stanowisko na niwie literatury dla ludu, na której dziś u nas brak talentów dotkliwie uczuwać się daje. Tem więcej żałować musimy, iż tak cenne środki zostały zużytkowane dla celów, z którymi współczuć żaden przyjaciel ludu stanowczo nie może.

A. Zakrzewski.

HISTORYA SZLACHTY POLSKIEJ.

Najsmutniejsza to strona dziejów naszych—te historye szlachty polskiej. Z początku używa ona równych praw z kmieciem i korzy się przed dynastą, ale podniósłszy głowę do góry, zagrabia chciwą ręką wszystkie godności i urzędy, wszystkie prawa i przywileje, wszystkie dobra i majątki. Szlachcic jest sędzią i ustawodawcą zarazem, on ma wyłączne prawo własności na powierzchni i w głębiach ziemi. Dom jego jest wolnym od kwaterunku żołnierza—„asylum“ św., z którego nie można aresztować nawet zbrodniarza. Stan „rycerski“ jest jedynym przedstawicielem życia publicznego, tylko jemu (później i kilku miastom) wolno posiadać, albo nabywać dobra ziemskie. Od czasów Jagiełły uwolniony od podatków, które ciążą tylko na chłopie, nakłada odtąd sam podatki. Nawet kodeks karny respektuje "szlachetnego“ mordercę, dla którego istnieją osobne paragrafy. Chroni go "habeas corpus,“ dalej idący niż angielski.

Nie dziw więc, że szlachta strzeże „klejnotu,“ jak oka w głowie. Nobilitacye były mocno obwarowane w Polsce. Od czasów Jana Kazimierza mógł tylko katolik otrzymać indygienat, stawiający go dopiero w trzeciem pokoleniu na równi z dawną szlachtą polską. Zaledwie kilku „nawróconych“ żydów cieszyło się na Litwie wyniesieniem do stanu uprzywilejowanego. Szlachectwo polskie nie było tak przedajne, jak np. francuskie. Za czasów Rzeczypospolitej udzielono, razem wziąwszy, niespełna 200 nobilitacyj i indygienatów. Kiedy np. we Francyi stworzono w jednym roku (1696) na raz aż 500 szlachciców, a w kilkanaście lat później mógł posiąść tę godność każdy, kto złożył 6000 liwr., natomiast tracił szlachcic polski swój klejnot, skoro trudnił się handlem, albo przemysłem. Takie i tym podobne były prawa tej uprzywilejowanej kasty — a jakie były bezprawia i nadużycia! Znamy je wszyscy z wyjątkiem p. O. K. Szymanowskiego *), który patrzy na dzieje przez zabarwione okulary, a przy końcu zamyka nawet oczy na rzeczywiste fakty, snując chyba z wyobraźni *ideał* szlachty.

Nie znam bliżej autora, mieszkającego w La Garance (w Szwajcaryi), ale domy-

*) Oswald Korwin Szymanowski *Beiträge zur Geschichte des Adels in Polen.* Zürich bei Fr. Schulthess 1884, VIII, 103, 8 vo major.

słam się, że jest starcem, jeżeli nie wiekiem, to przekonaniami i metodą. Książka jego nie zasługuje na szczegółowy rozbiór. Pomimo zapewnienia autora (zresztą skromnie występującego), że praca jego jest źródłową, mamy tylko kompilacyę ze znanych dzieł, jak: Lengnicha *Jus publicum Regni Poloniae*, Niesieckiego *Herbarz* itd.

Widocznie nie zdaje sobie autor sprawy z pracy źródłowej, krytycznej, brak mu też zupełnie metody historycznej. W *Volumina legum* wierzy jak w ewangelię, rozprawę Dutkiewicza p. t. *Prawa cywilne w Polsce* (Warszawa 1869) uważa za „urzędowe źródło," a *Wiadomości* Ossolińskiego nazywa „dziełem krytycznem." *Sapienti sat.* Tendencyę książki, zresztą dość umiarkowanej w zapędach szlacheckich, odsłaniają końcowe słowa autora: „szlachta polska nie skalała nigdy rąk swych we krwi książęj i nigdy nie knuła spisków przeciw swym monarchom. Pod tym względem jaśnieje ona jako jedyny wzór w dziejach świata!"

H. B.

LIBERUM VETO.

Wiosna. — Zemsta pogwałconej natury. — Szczęśliwi wieśniacy.—Rzodkiewka, ogórki i wojna. — Znaki pokoju. — *Posener Zeitung.* — Przykre rozczarowanie.— Edward Sulicki wróżbita wojny. — Epidemia cmentarzysk pogańskich.—Człowiek przedhistoryczny. — Odkąd się zaczyna historya.

Wiosna, tym razem już niewątpliwa, chociaż nikt nie ręczy za stałość tej kapryśnicy. Ale nie miejmy pretensyi do natury: tak długo ludzie z niej drwili, że nie można jej brać za złe, gdy ona z nich czasem zadrwi— gdy mrozi, kiedy grzać powinna. Za gwałty mści się niespodziankami. A pogwałcono jej prawa tyle razy; połamane i pokrzywione stanowią dotąd rusztowanie naszego życia umysłowego, moralnego i społecznego. Jak gdyby oburzona tą torturą, wychodzi ona ze zwykłego biegu, wstrząsa się, pokazuje swoją potęgę i gdy ludzie modlą się o pogodę, zlewa na nich deszcze, a gdy w kalendarzu naznaczają lato, sprowadza im jesień. Według wszelkiego jednak prawdopodobieństwa uspokoiła się, spędziła wichry i mrozy w ich wieczne siedliska a nad nami rozpostarła wiosnę. Słońce uśmiecha się dłużej, drzewa zielenieją, woń zawiązków kwiatowych przenika powietrze. Szczęśliwi, którzy nie muszą wodzić zmęczonego wzroku po nagich murach i brukach miejskich, lecz napawają go rozkosznymi widokami budzenia się przyrody! Jak ja ci zazdroszczę czytelniku, jeśli nieodurzony turkotem dorożek, swędem roztopionego asfaltu i wyziewami rynsztoków, niewitany i nieżegnany co krok przez nikogo—możesz wyjść w pole lub do lasu, rzucić oczy w bezmierną przestrzeń lub je zaczepiać o świeże listki zieleniejących drzew i odpoczywać duszą, oddychać nią swobodnie, wreszcie przypiąć jej skrzydła i puścić w najwyższe sfery marzeń. Wy wieśniacy, dzieci spoczywające na łonie natury, macie wiosnę, macie ją wtedy, gdy pola okryją się zielenią, drzewa zakwitną, lasy łagodnie zaszumią, skowronki zanucą; my zaś mieszczuchy dowiadujemy się o niej, gdy futra przestają być potrzebne, a w owocarniach błysną z za szyb wystawowych rzodkiewki i ogórki, lub też gdy w gazetach odbije się szczęk oręża, przygotowanego do... wojny, zapowiadanej przez całą zimę. Wyznam nawet, że dla mnie zapowiedź „bliskiej wojny" jest daleko wyraźniejszym znakiem wiosny, niż pojawienie się ogórków i rzodkiewek. Pierwsza bowiem występuje zawsze tylko podczas pory ciepłej i pogody ustalonej, ostatnie zaś, hodowane w inspektach, nie lękają się zimna. To też nie rozumiem, co to znaczy, że słońce przygrzewa i skowronki śpiewają, a wojny nie widać? Przeciwnie, mnożą się coraz bardziej znamiona pokoju, a dym z kominów dziennikarskich idzie tak prosto w górę, jak gdyby go nie przygniatała do ziemi żadna chmura i nie zginał najlżejszy wiaterek. W tej niczem niezakłóconej ciszy doznałem nawet pewnego smutku. Zeszłego tygodnia cieszyłem się na tem miejscu potęgą, jaką pismom polskim przyznała *Nordd. Allg. Ztg.*, oskarżając je o szkodliwy wpływ na stosunki międzynarodowe. Od nas — a więc i ode mnie — zależy harmonia wielkich mocarstw — czyż to nie rozkosz uczuć w sobie siły Samsona! Z obciętymi włosami nie wstrząsnę kolumn świątyni pokoju, ale gdy mi odrosną, chwycę lwią szczękę—a wtedy drżyjcie Filistyni! Tak sobie marzyłem, czytając artykuł *Nordd. Allg. Ztg.*, pieśń pruskiej Dalili, aż tu nagle przyrodnia jej siostra, również pazurami nas głaszcząca *Posener Zeitung*—słuchajcie martwe i żywe twory przyrody! — nagle (według *Gazety polskiej*) pisze: „Prawić wogóle o „rewolucyjnem stronnictwie polskiem" jest lekkomyślnym frazesem bojowym. Może on mieć tradycyjną przeszłość, a tem samem pozorne usprawiedliwienie, lecz w każdym razie sprzeciwia się faktom. Polacy pod berłem rosyjskiem, pokonawszy długoletni zastój na polu ekonomicznem i przemysłowem, zaledwie dziś widzą dojrzewające pierwsze owoce wznowionej pracy swojej i wcale nie myślą wystawiać ich samowolnie na zgubę—że już zamilczymy o innych względach. Przecież pojedynczych wybryków osób zakażonych socyalizmem i anarchią negacyjną pomiędzy akademikami warszawskimi (?) nie będziemy uważali za objawy programu powstania. Walkę zaś przeciwko zachciankom przewrotowym polaków, żyjących pod berłem austryackiem, nawet półurzędowy berlińczyk uzna za rzecz zbyteczną. Dowodzenie zaś istnienia stronnictwa powstańczego śród polaków, pod władzą Prus zostających, jest jednym z nieuczciwych środków wojennych, jakimi półurzędowe pismo całkiem się zdyskredytowało." Więc już nie my poróżniliśmy Rosyę z Niemcami, nie w naszych rękach spoczywają losy stosunku tych dwu mocarstw? A więc dowodzenia organu kanclerskiego są „błahe i niedorzeczne," a „najmniej ucywilizowany chłop posiada dość rozumu politycznego, ażeby się poznać na takich kozałkach," na „półurzędowym przekręceniu faktów?" I dyabłu przykro byłoby rozstać się z wiarą w swą moc—a cóż dopiero nam ludziom! Ja myślałem, że na wiosnę palnę sobie kilka ognistych artykułów i prysną pod nimi najściślejsze węzły, które chciałbym widzieć zerwane. Aż tu znowu dowiaduję się, żem słabe kurczę, szukające ziarnek i rozmyślające, na którym rożnie wołaby się upiec.

Zmarł między nami człowiek, który może najuporniej wierzył w... wiosnę, to jest widział zbliżającą się wojnę—Edward Sulicki, długoletni sprawozdawca polityczny *Gazety polskiej*. Pamiętał czasy lepsze, przecierpiał gorsze, dla nakarmienia swych pragnień utajonych potrzebował dużo nadziei, więc swoje osobiste chęci przenosił na odmienny nieraz bieg wypadków rzeczywistych i wróżył gwałtowne przewroty, które nie nadchodziły. Gdy nawet wszyscy prorocy dziennikarscy nie dostrzegali na niebie Europy ani jednej chmurki, Sulicki ciągle słyszał głuche i oddalone grzmoty. Umarł, nie doczekawszy się burzy, z zapowiadającym ją barometrem w ręku. Znajomi i koledzy, żegnając go wspomnieniem czułem, zaświadczają, że był to człowiek uczciwy. Na odpowiedzialność tych świadectw wyrażam mój żal za nieboszczykiem, którego nie znałem. Z ludzi uczciwych grób nie ma żadnej pociechy, a społeczeństwo — wielką.

Czasem ma ono znowu pociechę z grobów, zwłaszcza przedhistorycznych. Czy zauważyłeś, czytelniku, że nigdzie na świecie archeologowie nie rozkopują tyle „cmentarzysk pogańskich," ile u nas. Zdarzają się nawet formalne epidemie: codzień niemal odnajduje ktoś odłamki strzał, urny z prochami, łzawnice, stare zbroje itd. Wprawdzie nieraz okazuje się, że owe odłamki są oszlifowanemi przez wodę łupkami krzemienia a urny i łzawnice — zeszłowiecznymi garnkami; nic to jednak nie wpływa na statystykę „odkryć." Obecnie znowu pisma donoszą, że „p. F. K. Martynowski w ostatnich dniach kwietnia odkrył dwa cmentarzyska pogańskie z licznymi zabytkami po *człowieku przedhistorycznym*." Do owych „zabytków" należą: popielnice, nożyki, groty i sprzęty religijne. Wszystko to posiadał „człowiek przedhistoryczny." Ależ to był jegomość już dość ucywilizowany? Niewątpliwie, lecz dla naszych domorosłych archeologów poganizm leży za granicami historyi, która rozpoczyna się dopiero od wprowadzenia chrześciaństwa. Skutkiem tego słowianin np. z wieku VII naszej ery należy do ludzi „przedhistorycznych," podobnie jak gromady zamieszkujące Galię w czterdziestem stuleciu przed narodzeniem Chrystusa. Piękna archeologia — godna człowieka przedhistorycznego.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Zarzuty i wyjaśnienia. — Nieobjawione siły. — Rojenia szlacheckie. — Z polskiego Manchesteru. — Nie kijem ale pałką w Opolu. — Ograbieni księża.

Uwagi moje nad stosowaniem przez naszą prasą teoryi nobilicentrycznej wywołały kilka zarzutów ze strony jednego z poważniejszych publicystów. Jakkolwiek przeciwnik mój nie życzy sobie „polemiki gazeciarskiej," zmuszony jestem odpowiedzieć mu najprzód ze względu na ważność kwestyi, powtóre dlatego, że jeżeli słowa, według mego zdania, proste i jasne nasunąć mogły pewne wątpliwości wytrawnemu publicyście, zdarzyć się to również mogło i z przeciętnym czytelnikiem. Przechodzę do rzeczy.

P. W. twierdzi, że nie zdarzyło mu się spotkać *poważnego* zdania, które byłoby przeciwnem użyciu funduszu użyteczności publicznej na przejście w pomoc klasie włościańskiej. *Poważnego* zdania i ja również nie spotkałem, ale lekkomyślnego gadulstwa aż nadto. Wszystkie prawie artykuły dziennikarskie w tej sprawie nietylko dowodziły, że banki niewiele pomogą, ale zarazem, że ten sposób polepszenia bytu włościan jest nieodpowiednim. Z pierwszą połową tego twierdzenia i my zgodziliśmy się w części.

Na pomoc dla włościan piszą się wszyscy — idzie tylko o to, jakiego rodzaju będzie ta pomoc. My za najwłaściwszy środek uważamy ułatwienie nabycia ziemi, inni wynajdują najpewniejszy sposób polepszenia chłopskiego bytu w zniesieniu serwitutów albo w podniesieniu gospodarstw wielkich. Pojmuję dobrze, że ułatwienie chłopom nabywania ziemi, zabezpieczając ich byt, podniesie cenę pracy i że ta ostatnia okoliczność wielkim wytwórcom przyjemną być nie może; pojmuję również, gdy pisma, stojące na straży interesów szlacheckich, występują ostro przeciw wszelkim bankom itp. instytucyom mającym znowu na celu korzyść chłopską. Tylko niechże w dowodzeniach swoich nie zasłaniają się „ogólnem dobrem społeczeństwa" bo frazes ten właściwie nic nie znaczy, niech nie uciekają się do jezuickich wybiegów i prawniczej sofistyki.

I my w swoim czasie kilkakrotnie wypowiedzieliśmy życzenie, jakim rękom powie-

rzoną być powinna administracya funduszu i nie od nas to zależy, że życzenie pozostało — pobożnem; sądzimy wszakże, że publicystyka rachować się powinna nie ze swemi chęciami, lecz z istniejącymi faktami. Nigdy jednak dowodów swoich nie opieraliśmy wyłącznie na wątłych argumentach prawa. Na zarzut sformułowany w ten sposób: cobym powiedział, gdyby ktoś moje oszczędności, przeznaczone na założenie szkoły, użył na budowę kościoła, odpowiadam, że gdyby już kto inny założył szkołę, a ci, dla których przeznaczyłem mój fundusz, potrzebowali kościoła, niebym nie miał przeciw temu. Wszelkie argumenty prawne ustąpić powinny przed względami korzyści społecznej, co zresztą wygłosili już oddawna sami prawnicy: salus rei publicae — suprema lex.

Zarzut drugi brzmi, że bezzasadnie zestawiłem pożyczkę nową, mającą być udzieloną przez Towarzystwo kredytowe, z funduszem użyteczności publicznej. Gdyby chodziło o finansową stronę tego porównania zgodziłbym się na to, ależ ja mówiłem tylko o tem, w jaki sposób prasa przyjęła obie te operacye. Dotąd nie wiedziałem, że do porównań używać można tylko rzeczy jednorodnych.

Pozostaje jeszcze zarzut niewłaściwego ocenienia faktu emigracyi.

Zgadzam się zupełnie, że wyrobnicy nigdy prawie nie emigrują, ale czy drobny właściciel nie potrzebuje również zarobku? Ustępuje ten zwykle, który na swoim drobnym działku utrzymać się nie może. Nigdy nie mówiłem, że emigrują wyrobnicy, owszem w *Prawdzie* również wypowiedziałem zdanie, że wychodźtwo możliwem jest tylko dla właścicieli, ale nie pojmuję, dlaczego ta okoliczność zmienić może lub osłabić doniosłość kwestyi.

A teraz na pocieszenie strapionych ziemian, którzy sądzą, że demokraci pragną oddać ich na pożarcie chłopom i różnią się tylko pod tym względem, czy przygotować ich w formie pieczystego lub potrawki, czy też oddać na surowo — donoszę, że postanowienie rozszerzenia skali pożyczek Towarzystwa kredytowego zostało już ostatecznie zatwierdzone. Ale nie trzeba znowu sądzić, żeby rycerska szlachta lękała się tak bardzo wojujących piórem demokratów. Oto niejaki p. B. ogłasza w *Korespondencie płockim*, że szlachta uważa nas li tylko za „rozbieganych na drodze swoich pojęć" i dlatego jedynie nie odpowiada na czynione jej zarzuty. Ale gdyby tylko chciała... no! bo przecie w szeregach ziemian znajduje się „więcej ludzi głębokiej nauki niż w obozie przeciwnym." Winszujemy płockiemu Kolumbowi odkrycia tej Ameryki, a więcej jeszcze tego rycerskiego animuszu, z jakim daje odprawę służalczym umizgom szlacheckich obrońców w prasie, zginających pancerne i kamienne karki dla zebrania okruchów z pańskiego stołu. P. B. ma racyę, gdy oburza się na obronę wyrażoną w zdaniu: na pochyłe drzewo i kozy skaczą.

Na pochyłe drzewa, na które nietylko kozy, ale i barany skakać mogą, (jak np. na żydów) nie odbywamy nigdy polemicznych wycieczek. Szlachtę uważaliśmy zawsze nie za pochyłe drzewo, ale za dąb zwalony dziejowym piorunem, za dąb, który leżąc bezczynnie nadgnił i spróchniał. Dziś nie nadajo się on nawet na podłogę do wyprawiania skoków, ale za kłodę do zrąbania, z której zdrowsze części należy wyciąć i przerobić na inny pożytek a zgniliznę i próchno usunąć.

Temu naturalnemu procesowi nie położą tamy żadne środki ochronne, jak nie stworzą cudu powołania do życia przeżytych kształtów pięknc sielanki rojone przez p. Jelskiego na szpaltach *Gazety rolniczej*. Dziwna doprawdy ta logika szlachecka! P. Jelski, który z taką bezzwzględną, nadzwyczajną jak na nasze stosunki śmiałością zbadał szlacheckie ciało i stwierdził w niem rozkład krwi, marzy dziś o ziemiańskiej idylli, tworzy plany nowego wychowania młodzieży w patryarchalno-rolnym duchu i wierzy (bo pocóżby pisał) w możliwość urzeczywistnienia swoich mrzonek. I zaraz jakby w odpowiedzi na jego poetyczne rojenia korespondent z Wołynia kreśli w czarnych barwach zupełny moralny upadek warstwy szlacheckiej w tej prowincyi. Ta „choroba wieku," którą Kraszewski zauważył już tam przed dwudziestu laty a dla której korespondent nie może czy nie chce znaleźć odpowiedniej nazwy — to rozrastający się kapitalizm, który pochłania ostatki starego, feodalnego ustroju. Ale do tego głównego przyłączyły się inne jeszcze groźne objawy, gnusność społeczna, ciemnota itp. Odcięte od rodzimego pnia, a więc nie zasilane nowymi żywotnymi sokami, które u nas odraczają godzinę zgonu, spoczywa tam w katalepsyi społeczeństwo szlacheckie, przechodząc wszystkie fazy rozkładu.

Gniją u nas zresztą nietylko odwieczne podwaliny układu społecznego, ale i nowe podpórki, któremi ze wszech stron obstawiliśmy walącą się ruderę. Ileż to nadziei pokładaliśmy w rodzącym się przemyśle fabrycznym, który miał nas wzmocnić materyalnie i moralnie odrodzić. Popatrzmy więc, jak wyglądają stosunki polskiego Manchesteru i jakiemi to zasadami moralnemi rządzą się bawełniani, lniani i wełniani królowie. Jakiś poczciwy płoczczanin odbył wycieczkę do Łodzi, przyjrzał się miejscowemu życiu i przeląkł się. Ale ochłonąwszy że strachu, pragnie dziś podzielić się z czytelnikami wiązanką swych wrażeń. Streścić się one dadzą w krótkich słowach, że jądro społeczeństwo łódzkiego (dla nas jądro zawsze leży na wierzchu) jest zgniłem, zdemoralizowanem i demoralizującem, że przemył wytwarzający licho i niesumiennie, znajduje się w przededniu upadku i że wreszcie interesy moralne nie istnieją tam zgoła. Autor popiera swoje wywody całym szeregiem faktów, a chociaż naiwnie nieraz wyszukuje przyczyn, naiwność ta nie osłabia doniosłości jego spostrzeżeń, owszem świadczy o prostodusznej uczciwości. Zapewne, uczciwość nie może służyć za jedyne kryteryum nawet przy ocenie moralnego znaczenia faktów lub dokładności spostrzeżeń, ale upewnia nas, że te ostatnie czynione były sumiennie. *Dziennik łódzki* poczuł się w obowiązku wystąpić w obronie tej bawełnianej moralności, ale oprócz gromów polemicznych i tego rodzaju sofizmatów, że podstawą handlu nie jest uczciwość wytwórców, ale wypłacalność konsumentów, żadnych dowodów nie przytoczył. Bo o ofiarach pp. fabrykantów na cele oświaty świadczy fakt, że w Łodzi dotychczas niema nawet progimnazyum a o dobroczynności najlepiej mówi projekt wydalenia z miasta pozbawionych zajęcia robotników, który dlatego tylko nie przyszedł do skutku, że nie zgodziła się nań władza.

Ale ten sam *Dziennik* dostarcza dowodów przeciw sobie — posłuchajmy go więc: „W kilku miejscach popełniono samowolność przez zatrzymanie przyniesionych do dyskonta weksli, dalej „w innych znowu miejscach fałszowano miarę towaru" wreszcie: „słychać też o sprawach z powodu fałszowania weksli, o przywłaszczeniu rzeczy sądownie zaaresztowanych i opieczętowanych, o ucieczce osób niewypłacalnych, o *lekkomyślnych* (co za względność) bankructwach," itp. Wszystko to ma być wyjątkiem — ale w takim razie cóż nim nie jest.

Dzisiejsza moja kronika dotychczas prawie poświęconą jest polemice, przy sposobności więc załatwię się z jedną jeszcze sprawą.

Zarząd cukrowni opolskiej przysłał do gazet sprostowanie, w którem stara się zbić zarzuty *Kuryera warszawskiego* i *Prawdy*. A więc p. Kleyc, który nadużył zaufania akcyonaryuszów, nie był niemcem, ale francuzem (nie kijem go, ale pałką), niemniej wszakże roztrwonienie powierzonych mu sum jest faktem. Teorya prawna, że odpowiedzialnymi wobec wierzycieli są jego spadkobiercy a nie akcyonaryusze, potrzebuje jeszcze potwierdzenia władz sądowych. Zresztą nie oto nam chodziło, ale o niedołęstwo rady nadzorczej, której nie chciało się nawet dowiedzieć, na co p. Kleyc wydaje wyasygnowane mu pieniądze. Maszyny były liche, lecz zostały poprawione, cukier zaś podobno zdatny jest do użytku. Faktem jest jednak, co podaje *Gazeta lubelska*, że rzecz prowadzona była niedołężnie, kiedy dziś zarząd cukrowni sprzedaje spekulantom masę nieprzerobionych buraków, a sprzedaje chyba nie z zyskiem.

W Maryampolu odgrywa się teraz epilog antisemickich przedstawień w naszym kraju. Kilkudziesięciu włościan, oskarżonych o wywołanie zaburzeń w miasteczku Prenach, stanęło przed sądem. Poszkodowani przedstawili, jak zawsze, wygórowane pretensye cywilne, które sąd prawdopodobnie obetnie. Korespondent *Kuryera codziennego* zwraca uwagę, że starsi włościanie w bijatyce i rabunku nie przyjmowali udziału, jak również, że starsze pokolenie żydów daleko lepiej mówi po polsku i litewsku. Amatorom wyciągania wniosków polecamy zestawienie tych dwóch faktów. Oskarżeni dosyć długo czekali na karę, zawsze jednak krócej, niż ów chłop z pod Warszawy, który za popełnioną przed 14 laty kradzież jabłek z sadu, teraz dopiero skazany został na pół roku więzienia. Ten swawolny parobczak, bo przecie kradzieży jabłek trudno nazwać zbrodnią, który dziś może stał się porządnym i uczciwym gospodarzem, pokutować musi za grzech młodości w towarzystwie złodziejów i rabusiów. Szkoda, że sprawa nie opóźniła się jeszcze o lat kilka, bo właśnie komisya pracująca w Petersburgu nad ułożeniem kodeksu karnego zamierza wprowadzić przedawnienie w tego rodzaju winach.

Nie notujemy zwykle wypadków grabieży, które w naszem *menu* społecznem stały się kawałkiem chleba powszedniego; dziś czynimy wyjątek, bo ofiarami są księża. Pokazuje się więc, że i suknia kapłańska nie może być tarczą ochronną. Obaj proboszczowie posiadali ładne kapitaliki, co dowodzi, że położenie materyalne duchowieństwa nie jest tak rozpaczliwem, jak to utrzymują niektóre pisma. Gdyby szanowni ojcowie wierniej spełniali obowiązki chrześciańskie i ślub ubóstwa, nie daliby łakomym owieczkom powodu do występku. Bądź co bądź, żałuję ich szczerze i życzę, żeby skradzione listy zastawne i losy loteryi bruńświckiej odnalezionemi co prędzej zostały.

Nil.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 7 maja.

Komisya parlamentarna niemiecka, pomimo poczynionych przez niektórych członków poprawek, odrzuciła całkowicie wniosek przedłużenia ustawy wyjątkowej przeciw socyalistom, uważając widocznie projekt nowego prawa o przechowywaniu i użytkowaniu materyałów wybuchowych za wystarczający. Rząd nie może liczyć na przeprowadzenie swego wniosku w parlamencie, chyba gdyby nastąpiło ostateczne porozumienie z centrum. Ale i wtedy partya katolicka za cenę pewnych ustępstw zgodzi się tylko na okrojoną ustawę, nie pozostaje więc Bismarkowi nic innego, jak rozwiązanie parlamentu, bo trudno przypuścić, że przyjmie poprawki i dopuści do znacznych korzyści centrum.

Konferencya w sprawie egipskiej przychodzi do skutku. Francya z początku żądała oddzielnego porozumienia się z rządem angielskim, ale teraz prawdopodobnie odstąpi od tego zamiaru, ponieważ życzliwość Anglii może jej stać się bardzo potrzebną w nawiązujących się rokowaniach pokojowych z Chinami. Dotychczasowy poseł chiński Tseng został odwołany, następcy jego łatwiej będzie porozumieć się z rządem francuskim. Jakkolwiek jednak pokojowe załatwienie sprawy tonkińskiej ma wszelkie widoki urzeczywistnienia, rząd zażądał od Izb nowego 50 milionowego kredytu na dalsze prowadzenie wyprawy i utrzymanie zdobytych prowincyj.

W parlamencie angielskim toczą się rozprawy nad bilem o reformie wyborczej; ponieważ nie ulegającym wątpliwości rezultatem jego będzie wzmocnienie opozycyi irlandzkiej, jeden z członków Izby gmin postawił wniosek, żeby nowa ustawa nie stosowała się do Irlandyi — wniosek ten jednakże odrzucono.

Tymczasem nieprzejednani irlandczycy nie ustają w obmyślaniu najrozmaitszych zamachów, które zwykle jednak nie dochodzą do skutku. Świeżo przenieśli swoją działalność nawet do Kanady. W mieście Toronto pod gmachem parlamentu krajowego znaleziono sporą ilość dynamitu.

O lepsze z Anglią zaczyna iść Austrya. W krótce po nieudanym zamachu w Krakowie, schwytano w Tryeście dwóch podejrzanych ludzi z bombami, co prawda, bardzo niedołężnie wyrobionemi.

W Hiszpanii wybory do kortezów wypadły w duchu rządu, radykaliści wstrzymali się zupełnie od głosowania; jest to zwykły zresztą objaw w tym kraju, opozycya usuwa się od działalności parlamentarnej i przygotowywa rewolucyę. Jakoż w samej rzeczy rewolucya nie długo dała na siebie czekać, z Francyi wkroczyło kilka oddziałów powstańczych; wszystkie prawie zostały rozbite i rozbrojone, dotychczas jednak ruch nie jest jeszcze ostatecznie stłumiony. Oprócz tego odkrytó nowe spiski pomiędzy wojskowymi i to właśnie w tych prowincyach, do których wkroczyły oddziały republikańskie; widocznie więc rzecz cała przygotowaną była na szerszą skalę.

W Bulgaryi agitacya do połączenia z Rumelią wre ciągle — meetingi odbywają się po wszystkich miastach i uchwalają rezolucye w tym duchu.

We Lwowie odbył się wiec narodowy rusiński w sprawie oddania jezuitom klasztorów bazyliańskich w Dobromilu i Ławrowie; uchwałę zapadłą na nim podajemy niżej.

Lwów, 5 maja. Rezolucya uchwalona na wczorajszem wiecu rusińskiem brzmi: „Zważywszy, że od uchwalenia rezolucyi przez ogólno-ludowy rusiński wiec minęło całe dziesięć miesięcy, a rząd nie uważał jeszcze za stosowne przedsięwziąć choćby nieznacznych środków dla położenia końca dalszemu pogwałcaniu autonomii; zważywszy, że 24 kwietnia oddano klasztor Bazylianów w Ławrowie w posiadanie zakonników, wychowanych przez jezuitów; zważywszy nakoniec, że zatrwożenie umysłów śród wiernych rusińskiego obrządku, tak między duchowieństwem, jak i świeckimi nietylko nie zmniejszyło się, lecz w skutku najnowszego wypadku — oddanie klasztoru ławrowskiego—wzmaga się z dniem każdym; wiec lwowskich rusinów wznawiając w całości uchwaloną 23 czerwca 1883 przez ogólno-ludowy wiec rusiński rezolucyę, wybiera deputacyę, wkładając na nią obowiązek, aby przedstawiwszy ciężkie krzywdy naszego kościoła i pogwałcenie jego autonomii przed reprezentantami rządu i przed nuncyuszem papieskim, a wedle możności także przed tronem cesarza, domagała się imieniem galic. rusinów zadosyćuczynienia sprawiedliwym żądaniom, wyrażonym w tej rezolucyi."

WYKŁADY PUBLICZNE.

I.

Kobieta w świetle poezyi rycerskiej.

(Edward Grabowski).

P. Edward Grabowski jest jednym z bardzo nielicznych u nas pracowników na polu literatury powszechnej, a specyalność jego stanowią przedewszystkiem wieki średnie. Dlatego też zapowiedź, iż za temat odczytu swego wybrał właśnie kwestyę z wiekami średnimi najściślej związaną, obudziła niemałe zainteresowanie w tych, co p. Grabowskiego znali z pism, pomieszczonych w miesięcznikach lub w osobnych wydawnictwach, gdyż byli przekonani, że usłyszą rzecz gruntowną, a pod pewnymi względami może nawet nową.

I po wysłuchaniu odczytu musieli niewątpliwie przyznać, że zawodu nie doznali. P. Gr. postanowił rozpatrzeć kwestyę, na którą romantycy ułudny, fałszywy blask rzucili, kwestyę stanowiska kobiety w społeczeństwie średniowiecznem za czasów najświetniejszego rozwoju rycerstwa. W tym celu wyjaśniwszy, skąd powstały przesadne wyobrażenia o idealnem ubóstwieniu niewiasty w wiekach średnich, wykazawszy wpływ na wytworzenie tego wyobrażenia, jaki wywarli humaniści i nowożytni romantycy, zarysował, za pośrednictwem umiejętnie dobranych przykładów, owe grube, napół albo całkiem barbarzyńskie jeszcze obyczaje, które przed wiekami rycerskimi bezpośrednio istniały; zrobił zaś to dlatego, ażeby tem wyraźniej uwydatnić postęp uobyczajenia, jaki się pod wpływem różnorodnych czynników w wieku XII i XIII dokonał, a równocześnie, ażeby okazać, że ów barbarzyńca ze stuleci poprzednich nie mógł oczywiście zmienić się nagle w jakiegoś idealnego rycerza-kochanka, lecz musiał zatrzymać w uczuciach swoich i obyczajach choć cząstkę właściwej sobie, przyrodzonej brutalności.

Bardzo trafnem i w pewnej mierze nowem w odczycie p. Grabowskiego było wyjaśnienie kultu niewieściego z obyczajów i złączonych z niemi ceremonij feudalnych. Jak dla suzerena dla *dominusa* swego miał obowiązki służby i obowiązki grzeczności, tak też i dla *dominy* (damy) podobne powinności weszły w zwyczaj. A te objawy, które pierwotnie odnosiły się do żony i córek suzerena, następnie skutkiem życia towarzyskiego i wzajemnej wymiany grzeczności przeszły i na inne damy, które również były żonami i córkami innych suzerenów.

Podnieść też należy wyjaśnienie różnicy, jaka zachodzi w przedstawianiu kobiet przez liryków a przez epików. Pierwsi, wzdychając najczęściej do dam, nieskończenie wyżej od siebie postawionych, przymioty ich wielbili hyperbolicznie, a odniesionemi nad ich cnotą zwycięstwami nie mieli ochoty się chlubić, ażeby nie ściągnąć podejrzliwości mężów i ojców i nie ponieść kary. Drudzy zaś, opowiadając o postaciach wymyślonych, daleko swobodniej mogli swoje poglądy i uczucia objawiać, dlatego też epika więcej dostarcza nam rysów ujemnych, charakteryzujących kobiety średniowieczne, aniżeli liryka.

Ale co do kobiet niższego stanowiska, to i w liryce znajdujemy mnóstwo dowodów, przedstawiających nam ów kult niewieści w nader jaskrawozmysłowem świetle.

Wogólności prelegent, na podstawie świadectw poetyckich średniowiecznych, doszedł do tego przekonania, że ów kult niewieści, tak uroczo przez romantyków przedstawiany, da się porównać do rozpustnej maskarady, której chętne były strony obiedwie, gdyż pod jej osłoną mogły zadość uczynić swym grubo-zmysłowym popędom; o idealizmie i platonizmie w dobie świetności rycerstwa nie może być nawet mowy. Postęp uobyczajenia, rozwój umysłowości jak wszędzie tak i w sprawie położenia niewiast, przyniósł dodatnie wyniki: uduchowienie, uszlachetnienie uczuć i stosunków. Jak w wielu innych rzeczach, tak i w tej, nie mamy najmniejszego powodu tęsknić, torem romantyków, za dawnymi, niby „złotymi" czasami.

P. Gr. zajmował się w odczycie swym kobietą średniowieczną przeważnie jako kochanką i żoną, natrącając tylko w krótkich słowach o kobiecie jako matce i obywatelce. Wynikało to oczywiście z głównego założenia odczytu, ażeby fałszywe, całkiem ułudne wyobrażenie o niewieście, przez romantyków jako o kochance rozpowszechnione, sprostować, ukazując ją w świetle prawdziwem, dokumentami stwierdzonem. Zadanie to co do treści spełnił wybornie, mając na swe posługi rozległą i gruntowną wiedzę.

Co do formy, to p. Gr. nie jest frazeologiem, któryby chciał rozwadniać treść obfitą w felejtonowem lub gawędziarskim sosie. Ta strona podała sposobność recenzentom dziennikarskim do ostrzenia swego tępego dowcipu na prelekcyi. Zamiast wdrażać publiczność do przyjmowania naukowej treści w formie poważnej, zawtórowali oni najgorszym przyzwyczajeniem lubiącej łakocie publiczności i zawyrokowali, że odczyt był nudny. Nie umiejąc poznać się na gruntownej znajomości przedmiotu, której nie zareklamowały żadne postronne względy i okoliczności, sądzili, że mogą popuścić wodze swej rozmiękczonej wyobraźni, co się nie umie skupić nawet na godzinę. Ale czyż można się temu dziwić? Recenzentami odczytu po większej części byli tacy, którymby wcale nie zaszkodziło brać lekcye literatury od p. Grabowskiego. *P. Ch.*

II.

O pauperyzmie.

(P. Małkowski).

O ile dozwolonem jest każdemu mieć i wygłaszać pewne przekonania, o tyle znów naigrawanie się ze zdrowej logiki słuchaczów nie powinno być znoszonem cierpliwie. Prelegent, wstępując na mównicę, zupełnie zapomniał o tem. Wskazywanie na próżniactwo i pijaństwo, jako nagłówne źródło nędzy ludzkiej — może być pożądanem na ambonie; ale z katedry powinniśmy posłyszeć coś więcej. Tak rdzennych przyczyn niedoli ludzkiej jakiemi są: organizacya pracy i stosunek jej do kapitału, nie należy traktować lekko, zwłaszcza wobec tych, którzy nie wiedzą, że próżniactwo i pijaństwo są w znacznej mierze wynikiem wadliwości społeczno-ekonomicznego ustroju. Powoływanie się na filantropię, jako na jedyną niemal arkę wybawienia od nędzy, wobec tego, że nawet instytucye zasiłkowe na racyonalniejszych podstawach oparte — giną bez śladu w bezdniach kapitalistycznego odmętu — powoływanie się takie świadczy o dobrej wierze, ale nie o wiedzy. Wspominana przez p. M. Anglia, wydając olbrzymie miliony podatku na biednych — posiada w swych wykazach statystycznych dość wymowną rubrykę „umarłych z głodu." Czyżbyśmy się mieli cieszyć nadzieją, że w nagrodę za hojniejsze dary dla biednych niebiosa pozwolą nam otworzyć taką samą?

Dla braku miejsca, pominąć trzeba drobniejsze usterki odczytu i banalne wykrzykniki prelegenta o postępie, nauce i cnocie, wykrzykniki, którymi nie można było okupić zawodu publiczności, gdyby publiczność — choć w trzech czwartych — przychodziła do ratusza po coś więcej, niż dawanie oklasków każdemu, kto chce ją oświecać lub z niej żartować, *J. K. P.*

III.

O wrażeniach zmysłowych.

(Dr. Nussbaum).

Żeby wytłomaczyć, w jaki sposób powstają wrażenia zmysłowe, tak doskonałej istoty, jak człowiek, żeby obznajmić słuchaczów z tak skomplikowanym mechanizmem jak system nerwowy ludzki, musiał p. Nussbaum cofnąć się do najpierwotniejszych objawów życia zwierzęcego, wytłomaczyć całą prostotę wrażeń zmysłowych w praorganizmie amoeby.

To jednokomórkowe stworzenie zmieniając swoje ruchy pod wpływem zewnętrznych bodźców: jak światła, ciepła, dotyku (np. kurczenie się pod wpływem kwasów) otrzymuje wrażenia w postaci najpierwotniejszej. My, ludzie — najdoskonalszy szczebel drabiny ustrojowej — pomimo całej wyższości doznajemy wrażeń na zasadzie zupełnie identycznego ruchu molekuł, składających protoplazmę, jak organizmy najniższe.

Jeśli amoeba, nie mając osobnych organów czucia, całem ciałem swojem jest wrażliwą na pobudki zewnętrzne, to my, chociaż mamy specyalne narządy i do wysokiego stopnia rozwinięte zmysły, chociaż znowu każdy organ złożony jest z niezliczonego mnóstwa „elementów czuciowych,“ to wszakże właśnie te elementy i ze względu na swoją budowę i ze względu na swoje funkcye są analogiczne z budową i funkcyami całej amoeby. Za pośrednictwem włókien nerwowych przesełają one swoje wrażenia do pewnych ośrodków mózgu, gdzie stają się świadomemi. Elementy czuciowe każdego oddzielnego organu, odpowiadającego jakiemuś zmysłowi, posiadają odrębny kształt i budowę. Prelegent przedstawił je na rysunku szematycznym, dodając, że i te elementy muszą być znowu zróżniczkowane na drobniejsze składowe części, dla odczuwania wrażeń nietylko takich jak dotyk, smak, woń, światło itd., ale nawet takich, jak szorstkość i gładkość, gorycz, słodycz, kwas itd.

Oprócz powszechnie znanych pięciu zmysłów posiadamy jeszcze mięśniowy, pozwalający za pośrednictwem ciałek czuciowych oceniać pracę wykonaną podczas poruszenia; cieplikowy pozwalający oceniać temperaturę; wewnętrzny dający poczucie głodu, pragnienia, uduszenia itp. Wogóle ilość, zakres i kategorye zmysłów nie mogą być jeszcze ustalone wobec stosunkowo niedokładnych i niewystarczających rezultatów badań fizyologicznych. P. Nussbaum po opisaniu dosyć szczegółowem budowy i funkcyi każdego pojedyńczego organu przeszedł do zależności życia duchowego od wrażeń zmysłowych i przytem wypowiedział bardzo sympatyczną myśl, że wszystkie usiłowania ludzkości powinno społeczeństwo przedewszystkiem ku złagodzeniu nieprzyjemnych wrażeń zmysłowych, bo przez to tylko może podnieść swoje duchowe życie.

Treść i forma odczytu pozostawiła bardzo przyjemne wrażenie.

IV.

O powstawaniu elektryczności.

(Hołowiński).

Przedewszystkiem prelegent wyjaśnił, w jaki sposób powstaje elektryczność statyczna. Tradycyjny lak pocierany o sukno, jakaś najpierwotniejszej budowy maszyna elektryczna i stereotypowa butelka lejdejska — oto wszystko co miało posłużyć [illegible] ilustracya do powyższych wyjaśnień. Po pobieżnem trąceniu o podobieństwa i różnice, zachodzące między elektrycznością statyczną i dynamiczną, wraz z prelegentem słuchacze musieli przeskoczyć do tej ostatniej. Tu mogli się rozkoszować obfitą wiązanką najróżnorodniejszych faktów, zbyt widocznie posklejanych z sobą w nieusprawiedliwioną całość. Mieliśmy więc i element Bunsena, i cewkę Rumkorfa, i elektromagnesy, i zbaczanie igły magnetycznej pod wpływem prądu, i prądy rozbudzone, i prądy wywołane przez zmianę temperatury (termoelektryczność), i galwanoplastykę, i multiplikatory, i maszyny dynamoelektryczne, i fontannę, i rurki Geislera, telefony, mikrofony, i wpływ prądów na prądy, i światło elektryczne z opowiedzianymi regulatorami. i lampki elektryczne zarzące się, i elektryczne drogie kamienie, i znowu element Greneta, i znów okładanie się opiłek żelaznych około magnesów, i znów polaryzacyę prądu — itd, itd. Słowem niezliczone mnóstwo niezmiernie ciekawych rzeczy, ale... Otóż były tu ogromne i liczne „ale.“ Fakty przesuwały się w takim dziwnym porządku, raczej tak im brakowało wszelkiego porządku, że niepodobna było się zoryentować, czego prelegent chce dowieść i dokąd to dowodzenie ma słuchaczów doprowadzić. Cofanie się i powtarzanie, wyprzedzanie i przeskakiwanie, zapominanie i przypominanie stanowiło metodę wykładu. Ani jeden przyrząd nie był wyjaśniony zadowalająco i ani jedno doświadczenie nie było dostatecznie wytłomaczone. Musimy oddać sprawiedliwość, że p. H. szczerze starał się i wysilał, by jak najdokładniej i jak najprzystępniej wypowiadać swoje myśli; chęci jednak zawiodły, nie zastąpiły wrodzonego daru do płynnego i jasnego wykładu, który może nie być warunkiem niezbędnym w audytoryum uniwerseteckiem, ale jest koniecznym na publicznej katedrze. Spokój, odpowiednia dykcya i zdolność popularyzatorska—oto niezbędne warunki publicznego mówcy. Tego wszystkiego brakowało panu H., to też wykład ani swym zakresem, ani rozległością poglądów nie wykroczył po za wiadomości zawarte w każdym nowszym podręczniku i to z taką jeszczą różnicą, że tam są wyłożone systematyczniej.

Publiczność widocznie nie jest obojętną na sprawy przyrodnicze, bo sam tytuł ściągnął do sali sporo osób. Powinno to być wskazówką na przyszłość. *Wł. Gr.*

O PRAWDĘ.

W ostatnich numerach *Prawdy* z r. z. zamieszczoną jest krytyka mojej pracy*) napisana przez p. J. W. Dawida.

Nie mam zamiaru polemizować z autorem krytyki, uważam tylko za konieczne sprostować mylne pojęcia jego fizyologiczne, z których właśnie wysnuł zarzuty przeciw moim twierdzeniom, co mogłoby wprowadzić w błąd czytelników, niezajmujących się specyalnie fizyologią.

1) Na str. 604 p. D. pisze:

„Tembardziej jednak żądać mamy prawo, aby fakty, które bez udowodnienia przytacza, były prawdziwie zgodne z obecnym stanem wiedzy. Tymczasem p. N. nieraz przeciw tej zasadzie uchybia. Tak o zmyśle dotykowym czytamy, że „*cała* powierzchnia ciała na każdy wpływ zewnętrzny jest tak czułą, jakby z jednej masy nerwowej się składała,“ co stanowczo przeczy ustalonym w tej sprawie poglądom i oddawna, bo jeszcze przez Webera dokonanym doświadczeniom. Uczony ten dowodnie wykazał, że czułość skóry w różnych okolicach bardzo jest niejednostajną i nawet dla oznaczenia jej wprowadził do psychologii pojęcie okręgów *wrażliwości dotykowej*: w granicach każdego z takich okręgów, których wymiar *poprzeczny* (?) wynosi od 1 mm. (koniec języka) do 68 mm. (środek grzbietu) dwa końce rozszczepionego cyrkla robią wrażenie jednego, a odpowiednio do tych różnic czułości i rozmieszczenie nerwów jest gęstszem lub rzadszem...“

Rzeczywiście doświadczenia braci Weberów są tu zgodnie z prawdą przytoczone, ale wniosek, który z nich p. D. robi nie postał w myśli tych fizyologów. Oznaczyli oni doświadczalnie odległość dwu punktów na różnych okolicach powłok zewnętrznych, w granicach, których dwa czucia dotykowe wywołują wrażenie jednego dotkniętego punktu, oznaczyli tem samem zdolność oceniania przestrzeni na różnych okolicach skóry. Mylnie jednak p. D. wnosi, że skóra między owymi punktami, których cyrkiel dotyka, jest nieczułą, lub że to oznacza *gęstsze lub rzadsze rozmieszczenie nerwów*. Pan D. snadnie o swoim błędzie przekonać się może łatwem doświadczeniem na własnej skórze, dotykając np. szpilką miejsc skóry, zawartych pomiędzy nóżkami cyrkla, nawet na grzbiecie. Pozna wtedy, że, jak w mojej pracy powiedziałem, każdy niemal punkt na powierzchni jest równie czuły. Wrażenie czyli pojęcie o czuciu, jest czynnością umysłu, a nie zmysłu. Pojęcie odległości, ocena czucia dotykowego jest wnioskiem z porównywania wrażeń, otrzymanych przez czucie, np. dotykowe. Dlatego uwaga, wprawa, zmieniają w danych razach wypadki doświadczeń, co bracia Weberowie sami przytaczają. Niepodobna chyba przypuścić, aby w ciągu kilku godzin lub dni nawet sieć nerwów w skórze mogła się stawać rzadszą lub gęstszą.

2. Na str. 605 p. D. pisze:

„Ciekawem byłoby dowiedzieć się, jakie to różnice w budowie nerwów zmysłowych widział p. N., skoro dotąd przy najsilniejszych powiększeniach żadnych wykryć nie zdołano...“

W tym przedmiocie mogę tylko zalecić p. D. przejrzenie tablic histologicznych, przedstawiających różne nerwy zmysłowe, jeżeli ich w naturze pod mikroskopem nie oglądał. Przekona się p. D., że między budową nerwów: wzrokowego, słuchowego i węchowego, a innymi nerwami zmysłowymi, znaczna zachodzi różnica. Jeszcze większe, a stanowcze różnice przedstawiają ostateczne zakończenia organów nerwowych.

3) P. D. oświadcza się przeciw teoryi specyficznej energii nerwowej i między innemi mówi (str. 605 sz. 2):

„Co do samej teoryi zauważę tylko, iż nie godzi się ona żadną miarą z faktami tak natury patologicznej jak fizyologicznej, np. z tem, że ośrodki wielkiego mózgu a nawet całe półkule mogą się wzajemnie zastępować po uszkodzeniu którychkolwiek, a także z doświadczeniami Vulpiana, który poprzecinawszy i złączywszy odpowiednie nerwy u psa, mógł po włóknie czuciowem przeprowadzać pobudzenia ruchowe i *odwrotne.*“

Teorya specyficznej energii nerwowej nie odnosi się do pojedynczych gałązek nerwowych lub anatomicznie oddzielnych części mózgu. Odnosi się ona do specyficznej energii *organów nerwowych* w znaczeniu fizyologicznem. Pojęcie fizyologicznego organu nerwowego nie jest jednoznaczne z anatomicznie oddzielną częścią układu nerwowego; owszem, w anatomicznym rozkładzie czy układzie jakiejkolwiek części nerwowej zawarte są zwykle bardzo różne organa fizyologiczne.

Vulpian powtórzył za innymi fizyologami doświadczenie następujące: Przeciął nerw językowy (n. lingualis z 5 pary) czuciowy i nerw podjęzykowy (n. hypoglossus) ruchowy. Górny odcinek nerwu językowego zeszył z dolnym odcinkiem nerwu podjęzykowego, a po zrośnięciu się tych odcinków zauważył, że pobudzając nerw językowy (zwykle czucie dośrodkowo przewodzący) zdołał wywołać (w kierunku odśrodkowym) przez zrośnięty z nim dolny odcinek nerwu podjęzykowego ruch w mięśniach języka. Dowodzić to miało, że w nerwie językowem przewodnictwo może się odbywać w obu kierunkach: dośrodkowym (normalnie) i odśrodkowo (w doświadczeniu). Pomijając inne powody, dla których fizyologowie przeczą uprawnieniu powyższego wniosku, przytoczę tylko to, że nerw językowy, to jest t. z. anatomiczna gałąź nerwowa nie składa się wyłącznie z nerwów czuciowych, otrzymuje bowiem od nerwu twarzowego (n. facialis 7 para) znaczny pęczek włókien ruchowych przez połączenie się z t. z. struną bębenkową (chorda tympani). Pobudzania nerwu językowego, w takiem samem doświadczeniu powyżej przyłączeniu się doń struny bębenkowej, nie wywołuje ruchów mięśni języka. W doświadczeniu więc Vulpiana pobudzanie ośrodkowe odbywało się przez włókna normalnie odśrodkowo przewodzące.

Mylnem jest zupełnie twierdzenie, aby toż doświadczenie wykazało i *odwrotnie*, jak mówi p. D., możność przewodnictwa dośrodkowego przez górny odcinek nerwu podjęzykowego (ruchowego). Pomijając niezliczone trudności oznaczenia udziału czynności końców obwodowych nerwu językowego w czułości języka, który otrzymuje jeszcze nerwy czułe od nerwu języko-gardzielowego (n. glossopharyngens 12 para), zważyć należy, że górna część nerwu podjęzykowego kończy się w ośrodkach mózgowych, nie mających związku z czuciem, a zatem do świadomości dojść by nie mogła. Żaden też fizyolog takiego wyniku doświadczenia nie przypuszczał. Przyjmując nawet jako dowiedzione, że przewodnictwo w nerwach może się odbywać w obu kierunkach, zarówno dośrodkowym i odśrodkowym, to z tego jednak nie można (jak p. D.) wyprowadzać wniosków przeciw teoryi specyficznej energii *organów* nerwowych. Jako organ nerwowy, mający odrębną od innych czynność, fizyologowie uważają nietylko włókna nerwowe, ale ich obwodowe zakończenie i rozprzestrzenienie, jakoteż zakończenie w organach ośrodkowych. Zakończenie nerwów na powierzchni dla każdego nerwu zmysłowego jest osobliwe; odróżniające go od każdego innego; niemniej i nerwy ruch wzbudzające mają swój właściwy sposób rozgałęzienia w mięśniach i swoje ostateczne zakończenia. W ośrodkach organa nerwowe dośrodkowe dochodzą przedewszystkiem do substancyi szarej, odśrodkowe wychodzą przeważnie z białej substancyi.

Tylko przy takiem pojęciu organu nerwowego można dyskutować teoryę specyficznej energii nerwów i zrobić sobie należyte wyobrażenie o grze rozmaitych nerwów w zjawiskach życia.

Dr. Ludwik Natanson.

---

*) *Teorya jestestw idyodynamicznych.*

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. Na odwieczny temat wiarołomstwa napisał p. Cadol swoją 4 aktową komedyę *Hrabina Berta*, należącą do dzisiejszego typu realnych fabrykatów scenicznych. Ani pomysłem, ani przeprowadzeniem utwór ten nie olśniewa, przypominając owszem niektóre sceny i efekty znanych u nas dramatów i komedyj francuskich. Mezalians, stosunek mieszczaństwa do arystokracyi, skombinowany dramat dwu rodzin, niewiara i samobójstwo męża — oto znany i zużyty materyał, częściowo tylko urozmaicony przez autora dobrą charakterystyką kilku postaci, a zwłaszcza hrabiny, traktującej lekko swoje małżeństwo z bogatym mieszczaninem, oraz ambitnego milionera, który dążąc do wysokiego stanowiska czuje się odosobnionym w arystokratycznem otoczeniu. Zresztą rozwlekła sztuka rozwija się w akcie drugim i trzecim dość zajmująco i prawdziwie, ale w czwartym staje się nielogiczną wikłaniną, zlepkiem źle przygotowanych efektów. Artyści nasi, grając tę bardzo średnią sztukę, wykazali godną lepszej sprawy umiejętność w ożywianiu i subtelnem wykończeniu jej postaci żywych i szablonowych. Najwdzięczniejsze zadanie miała pani Niewiarowska, grająca bardzo subtelnie skreśloną postać margrabiny de Lair, której nadała wszystkie cechy prawdy, w każdem odcieniu doskonale przeprowadzonej. Szablonową rolę hr. Berty oddała p. Wisnowska bardzo ładnie, grając elegancko, równo, docierając coraz więcej do zamaskowania roboty aktorskiej. Bardzo szczęśliwym także jako Penardier był p. Ostrowski, uwydatniający pod osłoną komicznej próżności—nietuzinkową wcale energię, a jeżeli nie dość nadał figurze typowej francuskiej barwy, to nie jego wina, gdyż nie mógł znać pierwowzorów swej postaci. W innych rolach pp. Tatarkiewicz, Ładnowski i Wolski okazali swą umiejętność nadawania pozorów życia scenicznym szablonom.

Mianowanie. Ober-policmajster warszawski generał Buturlin uwolniony został od zajmowanych obowiązków a na jego miejsce mianowany gubernator płocki g. m. Tołstoj.

Koncert p. Noskowskiego, złożony z jego własnych, po części pięknych utworów, nie zgromadził dostatecznej liczby słuchaczów i nie był wykonany szczęśliwie.

Ruch pasażerski na drodze iwangrodzko-dąbrowskiej rozpocznie się jednocześnie z towarowym, tj. dopiero około 1 listopada.

Z prasy rosyjskiej. *Gazeta Gatcuka* otrzymała drugie ostrzeżenie.

— *Praw. Wiestnik* ogłasza komunikat urzędowy, zarzucający prasie radykalnego kierunku w Rosyi, propagowanie teoryj rewolucyjnych, sprzecznych z zasadami ustroju państwowego i społecznego. Śledztwo w sprawach politycznych wykryło łączność niektórych członków redakcyi czasopisma *Otieczestwiennyja Zapiski* z organizacyą rewolucyjną. Jeden z kierowników tego pisma wysłany został w roku zeszłym za podburzającą mowę do uczącej się młodzieży, kilku współpracowników było członkami tajemnej organizacyi, a utwory głównego redaktora (Szczedryna), które ze względów cenzuralnych nie mogły wychodzić w Rosyi, drukowane były w wydawnictwach zagranicznych. Mając to na względzie, rada, złożona z ministra spraw wewnętrznych, oświecenia i sprawiedliwości oraz ober-prokuratora synodu, postanowiła zamknąć zupełnie wydawnictwo czasopisma *Otieczestwiennyja Zapiski.*

Egzamina. Do ostatecznego egzaminu w tutejszej szkole realnej stanęło 200 kandydatów, których większą część, albo, jak powiadają pisma brukowe, większą połowę stanowią wychowańcy zakładów prywatnych.

Dokładność. Prawie wszystkie pisma codzienne doniosły o projekcie budowy drogi żelaznej z Mińska do Homla; tymczasem komunikacya kolejowa między temi dwoma miastami oddawna istnieje.

Prasa. W tych dniach zjawił się pierwszy numer wydawanego przez pastora Angersteina pisma p. t. *Głosy kościelne w sprawie kościoła ewangelicko-augsburskiego.*

Zmarli: Teodor Donimirski, jeden z najgorliwszych obywateli polskich w Prusach zachodnich, prezes miejscowego towarzystwa pom. nauk. i członek parlamentu.

— Hr. Paweł Kotzebue b. generał-gubernator warszawski.

— Józef Zielonacki, b. profesor prawa rzymskiego w uniwersytecie lwowskim. Z dzieł jego zasługuje na uwagę wykład *Pandektów.*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

K. T. Tom II wyczerpany, I i III kosztują rs. 3, początek IV kop. 50.

X. Znajomy pański jest bardzo szczęśliwy. Przypuścić nieskończoność można, ale *wyobrazić* sobie jej — nie.

N. P. Przekładów niema. Przedstawioną sprawę poruszymy.

P. P. w Włocławku. Teraz nie można.

F. J. Walc. Historya filozofii Lewesa; polskiego niema, rosyjski jest.

W. El. Oba wiersze są utkane z mgły i zawierają zbyt dużo wyrażeń, gwałcących myśl dla rymu. Np.:

A duch mój prysł
Ja tracę zmysł (?).

Lub:

Ocknęła się z zadumy cna (?) dusza poety
Zlękła się sama siebie—*tak padła, niestety.*

W. Zapytaliśmy korespondenta z Czer. Rusi.

OFIARY.

Na szkołę polską w Jassach. Składka 10-groszowa rs. 2 kop. 65.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Апрѣля 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.